W numerze: Obory • Między klasami • 50 lat Łódzkiej Filharmonii • Wiersze • Śmierć i miłość • Dwa razy whisky • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

Nr 8 (364)
28. II. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

Fot.: Emil Londzin

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ŚCIANA PŁACZU

I piwa...
I ŚMIERCI!!!

Niech przemówi mięso faktów. Brudne, cuchnące mięso!

Kilka lat temu, po szeregu niepowodzeń życiowych: zatargów z rodziną i kłopotów z miłością, Stanisław S. — syn chłopa, poeta, niedoszły Jan Kasprowicz, niespełniony Reymont, Orkan... filolog z wykształcenia, założyciel sławetnego „Pstrąga" — przekroczył progi Pijalni i znalazł się na bagnach. I to był początek końca!

Uwaga!!! Zmarł człowiek! Młody człowiek! Kiedyś... pełen godności, zdolny i uczciwy: kiedyś potrzebny!...

Uwaga! 23 grudnia ubiegłego roku zmarł nagle na pijaną gruźlicę niejaki S. — żebrak, wykolejeniec, alkoholik, człowiek bez zawodu, facet, którego się unika, ludzka szmata roztopiona w piwie!

Uwaga — Pijalnia! Osobom trzeźwym wstęp wzbroniony!

Milutki, grzeczny lokaliczek w sercu miasta. Ha, ha.

* * *

— Ha, ha, ha — rzezi Perkaty — żebym wiedział gdzie go pochowali, podlałbym grobulec piwem.

— Ha, ha, ha...

I to już wszystko.

Tak uczcili Sułka śmierć „koledzy", stara gwardia z Pijalni. — W obliczu śmierci słowo jest nietaktem. Majestat śmierci wymaga milczenia. Zresztą — parafrazując powiedzonko Goyi — umarli do ziemi, a żywi — do piwa!

Więc na każdego wchodzącego weterana, stałego bywalca, znajomą „oliwę", rzuca się pięciu „kławych" bez gotówki. Oni krzyczą: małe jasne! co ma znaczyć: postaw piwo! Oni krzyczą, ale Szakal jest najszybszy! Szakal, któremu matka „warczy" w domu, która wygania go do pracy, który nic nigdy w życiu nie robił (w każdym razie: nic dobrego), który potrafi swojemu „kumplowi" wyciągnąć z kieszeni ostatnie dwa złote, który okradnie nawet żebraka — otóż ten Szakal jest najszybszy; zagrywa bezczelnie, swingiem, roztraca łokciami liczną konkurencję, chwyta wchodzącego za poły jesionki, kwili mu w ucho: „daję robociznę!" — (stanę w tej długiej, spragnionej kolejce, na własnych nogach, i kupię za twoje pieniądze dwa duże, albo tylko małe, zimne lub podgrzane — wsio mi ryba) i najczęściej wchodzący się „łamie" — aby zyskać spokój, musi się okupić, musi ulec!

Dalszy ciąg na str. 4

OSCAR BRONNER

LUDZIE, pomóżcie NOVAKOWI!

SS-owiec Franz Novak, organizator transportów kolejowych, zwożących ofiary do oświęcimskich komór gazowych, zwany również „szefem transportu Eichmanna", stanął w połowie grudnia 1964 roku przed sądem przysięgłych w Wiedniu, który uwolnił go ze wszystkich najważniejszych punktów oskarżenia i skazał jedynie na osiem lat więzienia za „publiczne dokonywanie gwałtów". Wyrok zapadł przy ledwie wystarczającym stosunku głosów 5 do 3. Wyrok wywołał szczególnie za granicą, częściowo nawet w kraju, nieprzyjemne reperkusje. Krążą domysły, iż pomocnik Eichmanna został tak łagodnie potraktowany ze względu na to, że jego ofiarami byli Żydzi — są to oczywiście przypuszczenia pozbawione wszelkich podstaw.

Wkrótce po ogłoszeniu wyroku młody reporter wiedeński (po uprzednim porozumieniu z władzami) urządził kwestę na rzecz Novaka na jednej z ruchliwych ulic śródmieścia. Początkowo reportaż ten miał być opublikowany na innych łamach, jednakże mógłby je z a ł a m a ć z przyczyn technicznych. Łamy „Forum" nie załamią się pod takim ciężarem. Zresztą jakie łamy załamią się, czy mogłyby się załamać — pozostawiamy to ocenie naszych czytelników.

Solidnie ubrany przechadzam się tam i z powrotem po ulicy Wollzeile, w centrum Wiednia. Trzy swetry, w które się nabiłem, mają mnie chronić zarówno przed zimnem jak i przed cięgami. Bo jestem na to przygotowany, że oberwę co się zowie. W ręku trzymam puszkę pomalowaną jaskrawą czerwienią. Pochodzi jeszcze z czasów zbiórek na „pomoc zimową" z wygrawerowanym napisem „Gau Wien" (Okręg Wiedeń). Dwa plakaty tekturowe informują przechodniów dobrze czytelnym pismem o celu zbiórki; na jednym pisze: POMOC DLA FRANZA NOVAKA, a na drugim plakacie: ZBIÓRKA NA WIĘŹNIA — PROSZĘ O DATKI DLA FRANZA NOVAKA!

Kwestę rozpoczynam z mieszanymi uczuciami. Jak się zachowam, kiedy wciągną mnie w dyskusję? Z jednej strony nie mogę się przecież deklarować, gdyż test nie będzie miał żadnego sensu. A z drugiej strony: czy zdążą nadbiec w porę moi przyjaciele, ukryci w pobliskim sklepie, gdy posypią się na mnie razy?

Wszystkie te obawy okazują się wnet zupełnie bezpodstawne. Zrazu publiczność reaguje tak, jak gdybym zbierał na Czerwony Krzyż, chociaż każdego przechodnia głośno i wyraźnie proszę o ofiarę dla Franza Novaka. Wiele osób mija mnie obojętnie, szybko, nie zwracając uwagi ani na mnie ani na przewieszone przez ramię plakaty. Niektórzy zatrzymują się dopiero po przejściu kilku kroków, chwytają się za kieszeń, zawracają i z miną mecenasów rzucają łaskawie do puszki monetę. Nikt nie daje poniżej szylinga. Dziękuję uprzejmie.

Jakaś kobieta zatrzymuje się, myszkuje w torebce, wyciąga szylinga, daje go swej małej córce, która wrzuca do puszki. Potem mama odczytuje plakaty i zachowując pogodną twarz idzie dalej z córeczką.

Gdzieś musi tkwić błąd w moim teście. Jakże to możliwe, żeby nikt z ofiarodawców nie wiedział, kim jest Franz Novak! W niecały miesiąc po procesie?

I kiedy dwie dwudziestoletnie pannice świadczą na rzecz więźnia, ryzykuję pytanie: „Czy mógłbym wiedzieć, czemu panie składają ofiarę?" Zamiast odpowiedzi — krótkie mruknięcie — nie — i ulatniają się jak zmyte.

Zmieniam taktykę. Właśnie wygrzebuje coś z portmonetki mężczyzna pod sześćdziesiątkę, pytam go już dokładniej, czy wie, dla którego Novaka zbieram pieniądze.

Zastanawia się krótko — „Dla tego... co to z Eichmannem?"

„Tak".

Potakuje ze zrozumieniem, i szyling wlatuje przez otwór. Następnie proszę o datek jakiegoś młodzieńca. Śmieje się: „Dla zbrodniarza wojennego?" i oddala się ze śmiechem.

Nagle doskakuje do mnie mały, okrągły człowieczek w wiatrówce.

„Ma pan dowód?"

„Tak."

„Pana jeszcze nie było na świecie, jak ten facet posyłał ludzi do gazu. Pokaż pan dowód albo chodź ze mną na komisariat. Musi być porządek, no nie?"

Jest biały jak kreda. Nie miałby nic przeciwko temu, gdyby cała sprawa odbywała się zgodnie z przepisami. Prawdopodobnie by mu wystarczyło, gdyby zbieranie ofiar na pomocnika Eichmanna było dlatego tylko zabronione przez policję, ponieważ zbierający nie dostał pozwolenia od władz. Oczywiście lepsze to niż obojętność. Ale tym razem nie bardzo mi się podoba to „austriackie myślenie". I chociaż niechętnie wdaję się w bójki, to teraz, po tym, jak reagują na takie sprawy wiedeńczycy, zrobiłoby mi się raźniej, gdyby mnie wyrżnął ów właściciel wiatrówki. Lecz on ma jedynie zastrzeżenia: „... bo to nie w porządku, co pan tu robi."

Uparcie trwam w swojej roli i nagabuję dalszych przechodniów o datki dla Franza Novaka.

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Niewiele z pewnością można wyliczyć takich propozycji międzynarodowych, które w ciągu z górą siedmiu lat nie tylko nie straciły nic na wartości, lecz odwrotnie — zjednują dzisiaj wczorajszych ich przeciwników. A tak właśnie jest z polskim planem utworzenia w centrum Europy strefy bezatomowej. Jego żywotność i siła oddziaływania są coraz wieksze.

Do tego oczywistego wniosku dochodzą liczni komentatorzy zachodni po brukselskich rozmowach min. Adama Rapackiego, stwierdzając jednocześnie „godną najwyższego uznania uporczywość i stanowczość w werbowaniu dla swej idei państw NATO".

I bez przesady można stwierdzić, że ta — by znów posłużyć się określeniem z prasy zachodniej — „podróżnicza działalność na rzecz disengagement a la Rapacki" znalazła się w centrum politycznego zainteresowania.

Zanim pokrótce omówimy rezultaty wizyty min. Rapackiego w Brukseli — przypomnijmy Czytelnikom, że zgłoszona w r. 1957 przez Polskę, następnie nieco modyfikowana, propozycja utworzenia strefy bezatomowej została oficjalnie odrzucona przez Zachód, tym niemniej właściwie zawsze pozostawała na porządku dnia, znajdując licznych zwolenników i... naśladowców. Plany atomowej neutralizacji Skandynawii, Bałkanów, Ameryki Łacińskiej, Afryki wypływają chyba wprost z zapoczątkowanej przez nas idei.

Czy trzeba lepszych dowodów na trafność i celność polskiej propozycji? A przecież nie wszyscy to dostrzegają i rozumieją.

Brukselskie rozmowy, i w ich rezultacie wspólny komunikat, mówiący o dalszym zbliżeniu między Polską i Belgią na sprawę odprężenia i strefy bezatomowej w Europie — i tych zmusiły do myślenia.

— W tym coś musi być — zastanawiają się — skoro nie byle kto, ale sam Paul Henri Spaak, wicepremier i minister spraw zagranicznych, były sekretarz generalny NATO dawniej niezbyt przychylnie do planu ustosunkowany, dziś daje wyraz swemu dużemu zainteresowaniu.

„Polski minister — pisze „Neue Rhein — Ruhr Zeitung" — poleciał do Brukseli i w ciągu niewielu dni osiągnął to, co jeszcze przed dwoma laty byłoby nie do pomyślenia, uzyskał od swego belgijskiego kolegi — Spaaka przyznanie się, że rząd belgijski jest oficjalnie zainteresowany polskimi planami odprężenia, ograniczenia zbrojeń i ich kontroli w Europie Środkowej".

Oczywiście, szczególne powody do refleksji ma Bonn. Politycy zachodnioniemieccy odczuwają bowiem tę wizytę jako kolejny cios, tym razem zadany z „zaprzyjaźnionego, belgijskiego terenu".

„Cichutko — pisze cytowana gazeta — wschodnioeuropejscy kontrpartnerzy udają się na Zachód w celu zaatakowania niemieckiego frontu z tyłu".

I wniosek: „Bońska polityka zagraniczna zagrożona jest nie tylko na Bliskim Wschodzie".

Irytacji Bonn trudno się właściwie dziwić. Tradycjonalna polityka NRF zaczyna bowiem coraz głośniej pękać w szwach...

Rewizyta brukselska min. Rapackiego zwraca jednak uwagę jeszcze na coś innego: rolę wszystkich krajów w procesie odprężenia. Podkreślam: wszystkich, co ma oznaczać, że spełniają ją nie tylko wielkie mocarstwa, głównie — rzecz jasna — odpowiedzialne za pokój i bezpieczeństwo, lecz także kraje małe. W poszukiwaniu dróg wyjścia z nuklearnej karuzeli mogą one być bardzo pomocne i spełnić bardzo pożyteczną misję.

Wizyta ta wreszcie wskazuje na rozwój dwustronnych stosunków polsko-belgijskich, którego etapami są: pobyt w grudniu 1963 roku min. Spaaka w Warszawie, wizyta we wrześniu ub. roku w Polsce parlamentarzystów belgijskich i obecnie — rozmowy w Brukseli. Można więc mówić już o pewnej ciągłości, tych stosunków i pierwszych wynikach.

Jak bowiem nasi Czytelnicy wiedzą, podpisaliśmy umowę o współpracy ekonomicznej, przemysłowej i technicznej z Belgią, zapowiedziano odnowienie umowy wieloletniej oraz dokonano wymiany poglądów na temat zwiększenia kooperacji przemysłowej między naszymi krajami. Wyrażono — co więcej — celowość dalszych bezpośrednich kontaktów.

Belgijska podróż min. Rapackiego jest już drugą w bieżącym roku. Jak pamiętamy, w dniach 25—31 stycznia min. Rapacki bawił w Iranie na zaproszenie min. Abbasa Arama, po drodze do Teheranu zatrzymując się w Rzymie, gdzie także odbył rozmowy (z prem. Aldo Moro). Wcześniej — w grudniu ub. roku — wracając z Nowego Jorku przez kilka dni gościł w Londynie.

Zachodni komentatorzy przypuszczają, że wkrótce nastąpią dalsze bezpośrednie spotkania. Polska bowiem — przypominają — autor trzech interesujących propozycji: planu strefy bezatomowej, planu zamrożenia zbrojeń i zwołania europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa — raz po raz daje dowód praktycznego podejścia do koncepcji pokojowego współistnienia.

W. SŁAWSKI

PS. *Z innych wydarzeń ostatniego okresu odnotujmy dwa:*

■ *Do długiej listy przywódców kolejnych południowowietnamskich zamachów trzeba dopisać: Phan Ngao Tao. Pułkownik o tym nazwisku dokonał nowego przewrotu, oskarżając Khana o dyktatorstwo i tendencje... neutralistyczne. Sajgoński ósmy po usunięciu Diema, zamach ma charakter proamerykański. Jedna z agencji amerykańskich doniosła o nim... zanim został dokonany.*

W chwili, gdy oddajemy komentarz do druku napływają wiadomości, że pucz się nie udał, jednak 15 z 20 członków rady sił zbrojnych wypowiedziało się przeciwko Khanhowi. Prawdziwy kontredans na sajgońskiej scenie!

■ *Po dramatycznych, pełnych napięcia godzinach w ONZ pierwsza część XIX sesji Zgromadzenia Ogólnego została zamknięta, a druga odroczona do 1 września. Kryzys, choć drastyczny finał przyniósł pewne wzmocnienie ONZ, trwa...*

W.S.

Kronika tygodnia

NIEDZIELA,
14 lutego

■ Sytuacja na Półwyspie Indochińskim wywołuje w amerykańskiej opinii publicznej głębokie rozczarowanie. Większość społeczeństwa amerykańskiego uważa, że zasady polityki amerykańskiej winny być zmodyfikowane, aby cechowało ją więcej cierpliwości i aby wywoływała ona mniej sytuacji kryzysowych. „Ostatnia akcja Stanów Zjednoczonych — pisze jeden z czytelników prasy amerykańskiej — coraz bardziej przypomina „dziką" propozycje Goldwatera w czasie kampanii wyborczej. Czy wyniki wyborów nie mają żadnego znaczenia dla Johnsona? „Czy Stany Zjednoczone — zapytuje inny czytelnik — zamierzają pójść w ślady hitlerowców, bombardując i paląc miasta za każdego żołnierza okupacyjnej armii amerykańskiej, zabitego przez partyzantów wietnamskich?"

PONIEDZIAŁEK,
15 lutego

■ Znany dramaturg rumuński, laureat nagrody państwowej H. Lovinescu określił sytuację dramaturgii rumuńskiej, jako tej, która w porównaniu z innymi dziedzinami sztuki przypomina ubogiego krewnego z prowincji. „To co na pierwszy rzut oka uderza mnie, gdy patrzę na naszą dramaturgię, — pisze rumuński dramaturg — to wielki odsetek starzyzny". Porzućmy recepty i klisze. Porzućmy moralizatorska dydaktykę. Rzućmy w ogień prefabrykaty. Bójmy się optymizmu na rozkaz, — kontynuuje Lovinescu. Dziełem, czy twórczością dramatyczna potrzebna socjalizmowi nie jest sztuka moralizatorska, ale sztuka prawdziwa z artystycznego punktu widzenia".

■ Od pewnego czasu narasta między W. Brytanią a Hiszpanią konflikt wokół sprawy przynależności Gibraltaru. W roku ubiegłym rząd Hiszpanii występował kilkakrotnie domagając się zwrotu Gibraltaru. W chwili obecnej Hiszpanie zapowiedzieli, iż zamkną granicę między Gibraltarem a Hiszpanią, a także, nie zezwolą na to aby robotnicy hiszpańscy pracowali na terenie brytyjskiej bazy. Ponadto zapowiedziano odcięcie dostaw lądowych dla Gibraltaru.

WTOREK,
16 lutego

■ Były premier Francji Edgar Faure zapytany przez dziennikarzy, co zrobiłby w sprawie Wietnamu Południowego, gdyby był generałem de Gaulle'm i co zrobiłby gdyby był prezydentem Johnsonem odpowiedział: Gdybym był generałem de Gaulle'm zrobiłbym dokładnie to samo co on robi, a gdybym był prezydentem Johnsonem zasięgnałbym rady generała de Gaulle'a.

■ Radzieckie „Izwiestia" postulują wprowadzenie dalszych udogodnień dla posiadaczy działek przyzagrodowych w kołchozach i sowchozach. Działka przyzagrodowa — czytamy w dzienniku — będzie jeszcze przez pewien czas, być może niemały, dobra podpora, umożliwiająca lepsze zaopatrzenie rodziny w ważne artykuły spożywcze.

Należy go troskliwie pielęgnować...
(„Die Welt")

ŚRODA,
17 lutego

■ Decyzją Rady Ministrów NRD wprowadzony zostanie nowy system wynagradzania kierowniczych kadr w przemyśle — dyrektorów zjednoczeń, dyrektorów zakładów, dyrektorów technicznych, średnich kadr, majstrów i kierowników wydziałów w zakładach produkcyjnych. Głównym wskaźnikiem decydującym o wysokości płacy kadry kierowniczej będzie zysk osiągnięty przez zjednoczenie lub zakład. W wypadku niewykonania planu potrącenia poborów kierowniczego personelu mogą dojść do 20 proc.

■ Jak podała jugosłowiańska „Borba" zarobki na jednego zatrudnionego w gospodarce jugosłowiańskiej wzrosły w ciągu 1964 roku przeciętnie o 26 proc., a pod koniec roku były o 29 proc. wyższe niż w 1963. Ponieważ koszty utrzymania wzrosły w tym samym czasie o 12 proc., a pod koniec roku o 16 proc., realny wzrost zarobków wyniósł 12 proc.

■ Senator Symington, wpływowy członek Komisji Spraw Zagranicznych i Wojskowych Senatu USA wezwał administrację do rewizji programów pomocy dla zagranicy oraz dotychczasowej polityki handlowej wobec krajów socjalistycznych. „Nie mogę zrozumieć — oświadczył senator — dlaczego tak wielu ludzi uważa, że popełnimy zbrodnię handlując z krajami Europy wschodniej, skoro wszystkie kraje uprzemysłowione... czynią wszystko aby handel ten zwiększyć".

CZWARTEK,
18 lutego

■ Prasa europejska obszernie komentuje wizytę ministra spraw zagranicznych PRL A. Rapackiego w Belgii. Zwraca się uwagę, iż propozycje ministra Rapackiego dotyczące odprężenia w Europie środkowej natrafiły na podatny grunt u belgijskiego ministra Spaaka. „Stuttgarten Zeitung" pisze: „Nazwisko polskiego ministra spraw zagranicznych w połączeniu ze słowem „plan" wywołuje w naszym kraju, ogólnie rzecz biorąc, irytację, szczególnie wówczas, gdy Rapacki werbuje dla swej idei państwa NATO".

Brytyjski „Guardian" o „serdeczność wspólnego komunikatu... przekraczała zwykłe formalności i było rzeczą ogromnie interesującą, że pochodziła od członków dwóch rywalizujących obozów..."

■ Pekiński dziennik „Żenminżipao" oświadcza, iż żądanie Naczelnego Dowództwa Wietnamskiej Armii Ludowej wycofania stałych posterunków Międzynarodowej Komisji z Demokratycznego Wietnamu jest w pełni usprawiedliwione. Żądanie to — kontynuuje pismo — stało się rzeczą niezbędną przez fakt, że imperialiści Stanów Zjednoczonych i ich lokaje dokonali powtarzanych napadów lotniczych na DRW i że stało się trudne zapewnienie bezpieczeństwa członkom stałych posterunków Międzynarodowej Komisji.

PIĄTEK,
19 lutego

■ W czasie debaty w Bundestagu na temat zaostrzającej się sytuacji między NRF a ZRA i Izraelem zabrał głos kanclerz Erhard, grożąc cofnięciem pomocy gospodarczej dla ZRA w wypadku dojścia do skutku wizyty przewodniczącego Rady Państwa NRD Waltera Ulbrichta. Tymczasem prasa kairska informuje, iż władze ZRA uroczyście podejmować będą niemieckiego męża stanu. „Nie pójdziemy na żadne kompromisy, pisze jeden z egipskich dzienników, jeśli chodzi o zbliżającą się wizytę Ulbrichta".

■ Jugosławia zamierza wprowadzić dalsze ułatwienia dla turystów zagranicznych, jak też zliberalizować przepisy odnośnie przekraczania granicy przez turystów jugosłowiańskich. W ubiegłym roku granicę jugosłowiańską przekroczyło 4 miliony cudzoziemców, w tym 2,5 miliona turystów, czyli o 55 proc. więcej niż w roku 1963. Ponadto prawie pół miliona Jugosłowian wyjechało w roku ubiegłym za granicę, to jest 49 proc. więcej w porównaniu z 1963 r.

SOBOTA,
20 lutego

■ Z NRF donoszą o zawarciu umowy między zachodnioniemieckimi zakładami budowy silników a przemysłem samochodowym NRD o sprzedaży NRD licencji na produkcję wirowych silników tłokowych (wankla).

■ W rumuńskim tygodniku „Viata Ekonomica" ukazał się, napisany specjalnie dla tego pisma, artykuł znanego polskiego naukowca-demografa, członka PAN-u, prorektora UŁ, prof. dr Edwarda Rosseta pt. „Prognozy i rzeczywistość". W artykule tym prof. dr Rosset pisze o znaczeniu i osiągnięciach demografii w świecie.

POLONICA

KAROL BARANIECKI W ISLANDII

W islandzkim tygodniku „Piodviljin" z końca grudnia ubiegłego roku, który dotarł do nas dopiero teraz, poświęcono całą kolumnę znanemu rysownikowi i karykaturzyście łódzkiemu Karolowi Baranieckiemu. Strona zawiera fotografię Karola Baranieckiego, notkę biograficzną, opisującą również charakter jego rysunków, oraz kilkanaście karykatur, z których część publikowały przedtem „Szpilki", a część łódzka „Karuzela". Fakt, że na rysunki i karykatury Karola Baranieckiego zwrócono uwagę aż w odległej Islandii — wielce nas cieszy. Więc cieszymy się i gratulujemy!

„MYŚLI NIEUCZESANE" LECA

„Myśli nieuczesane" Stanisława Jerzego Leca robią wciąż karierę na świecie. W ostatnim ubiegłorocznym numerze czasopisma nowojorskiego „Holiday" znowu opublikowano nową porcję „Myśli nieuczesanych". Wychodzący w Caracas (Wenezuela) postępowy organ literacki zamieszcza „Myśli nieuczesane" w przekładzie hiszpańskim z załączoną biografią autora. W Bratysławie ukazała się nakładem wydawnictwa „Slovensky Spisovatel", książka Leca pt. „Zletel mikroskopicky anjelik" (po polsku: „Sfrunął mikroskopijny aniołek"). Tom zawiera obszerny wybór liryki, epigramatów i myśli nieuczesanych. Tytuł jest cytatem z wiersza autora. Wybór i przekład książki jest dziełem wybitnego liryka słowackiego Vojtecha Mihalika. Odnotujmy jeszcze, że tygodnik literacki „Telegram" (Zagrzeb) przyniósł w numerze z 22. I. br. duży wybór „Myśli nieuczesanych" w tłumaczeniu Petara Vujicica oraz, że w styczniowym numerze moskiewskiej „Innostrannoj Literatury" opublikowano wybór „Myśli nieuczesanych" w przekładzie W. Gołowskaja.

POLACY W ENCYKLOPEDII RADZIECKIEJ

Ukazał się drugi tom radzieckiej „Encyklopedii Literackiej", poświęconej zarówno literaturze ZSRR jak i świata. Nas interesuje, rzecz jasna, jak w tym tomie potraktowano sprawy polskie. Otóż należy z przyjemnością stwierdzić, że uwzględniono wielu pisarzy dawnych i współczesnych, a podane informacje są ścisłe i nawet obszerne. Oto lista nazwisk pisarzy polskich, uwzględnionych w tym tomie: K. I. Gałczyński, C. K. Norwid, Cyprian Godebski, T. Hołuj, Wiktor Gomulicki, Seweryn Goszczyński, P. Gojawiczyńska, Michał Grabowski, Artur Gruszecki, Łukasz Górnicki, Konrad Górski, Edward Dembowski, St. R. Dobrowolski, M. Dąbrowska, A. Dygasiński, St. Dygat, St. Żeromski, N. Żmichowska, W. Żukrowski, Fr. Zabłocki, Tadeusz Zieliński, E. Zegadłowicz, Stefan Żółkiewski, G. Zapolska, Witold Krajewski i Robert Panek.

Polscy muzycy są wykładowcami w Konserwatorium Hawańskim, dokąd przybyła najbardziej utalentowana młodzież republiki oraz biorą udział w występach orkiestry symfonicznej występując jako soliści.

POLSCY MUZYCY NA KUBIE

„Sowietskaja kultura" z 9 lutego br. informuje swoich czytelników, że w ramach wymiany kulturalnej przybyli na Kubę polscy muzycy: Zdzisław Górny,

LUDZIE, *pomóżcie* NOVAKOWI!

Dalszy ciąg ze str. 1

Znów mężczyzna w wiatrówce. „Czy pan zbiera także na rodziny tych, co zostali pomordowani pod jego komendą?"

„Nie".

Podczas gdy informuję jakiegoś młodzieńca, przypuszczalnie studenta kto to był Franz Novak i za co dostał się do więzienia, słyszę poza sobą głęboki, niechybnie urzędowy głos.

„Ma pan zezwolenie na zbiórkę?"

Wyjaśniam policjantowi, że dyrekcja policji wydała mi właśnie takie zezwolenie.

„Na piśmie?" Jego kolega jest bardziej niecierpliwy. „Wyjaśnimy to gdzie indziej. Do komisariatu!"

Dopiero teraz kiedy udajemy się w stronę komisariatu, na miejscu zbiórki zaczyna się tworzyć zbiegowisko. To znaczy teraz, gdy na plan wkroczyła policja. W każdym razie jakaś kobieta pokrzykuje w moją stronę: „Hańba Austrii!" A jakiś mężczyzna: „Tak sobie poczynają zbrodniarze wojenni i mordercy!" Wysoki, elegancko ubrany pan próbuje go mitygować: „Ależ proszę pana"... i dopiero na głośne zapytanie — „A coś pan faszysta?" — milknie.

— „No" mówi po drodze mój policjant. — „Zaraz ustalimy, czy jest pan uprawniony czy nie. Ja rozumiem wiele rzeczy, tak, ale cóż, publiczna zbiórka musi być u nas zgłoszona"...

Na komisariacie wszystko się wyjaśnia. Policjant, pełniący dyżur, nie wiedział o wydanym zezwoleniu — zaświadczenie wpłynęło pół godziny później. Mogę zbierać dalej. Ale teraz stoi już w pobliżu dwóch policjantów, aby wkroczyć w razie potrzeby.

Pierwszy nowy datek pochodzi od owego eleganckiego pana, którego podejrzewano o faszyzm. Czekał na mnie prawie godzinę. „Pragnąłbym i ja coś uczynić dla sprawy" — mówi i wsuwa do puszki zwinięty w rulonik stuszylingowy banknot.

„Pan wie, o co chodzi."

„Naturalnie. Cieszę się, że są jeszcze sprawiedliwi, uświadomieni narodowo i odważni młodzi ludzie. Dziwne, że pana odprowadzili, ale w końcu nie mogą przecież nic panu zrobić. Sprawa zgłoszona, dali zezwolenie, co?"

„Tak".

Wskazuje głową w stronę obu policjantów. „Będą teraz pilnować?"

„Tak".

„Właściwie to znam tego małego. Spokojna głowa. Tego drugiego nie znam".

Przed odejściem opowiada mi ten wspaniałomyślny ofiarodawca, że jest człowiekiem interesu i właścicielem dobrze rozwijającego się sklepu przy ul. Jasomirgott. Znowu dziękuję uprzejmie.

Dłuższa przerwa. Nikt nie daje, nikt nie protestuje. Być może, że niektórych peszy obecność policjantów w pobliżu, spacerujących tam i z powrotem.

„Proszę o ofiarę na Franza Novaka!"

Młody człowiek w okularach w złotej oprawie chciałby wiedzieć, kto to taki... Mówię coś o więzieniu i że „podobno popełnił jakieś przestępstwa w okresie Trzeciej Rzeszy" a także o nowym procesie, na który Novak potrzebuje pieniędzy. „Zechce pan złożyć ofiarę?" Uśmiecha się: „Skoro tak, to niestety nie".

Jakiś mężczyzna około pięćdziesiątki daje mi pięć szylingów.

„Pan zdaje sobie sprawę, na co to jest... żeby można prowadzić proces"...

„Tak jest. Jedni mordercy chodzą z podniesionym czołem, a innym chcą wmówić zbrodnie na podstawie fałszywych zeznań i podstawionych świadków".

„To znaczy, że lepiej byłoby ich zwolnić?"

Ma receptę na wymazanie przeszłości: „Trzeba ich skazać, ale tak długo pozostawić na wolności, aż inni zaczną także zamykać swoich morderców, czy tak?"

Znowu starszy mężczyzna. Żąda informacji. Powtarzam: „...Więzienie... sąd przysięgłych... wyrok w stosunku 5 do 3... wyższa instancja"...

Sięga po portfel.

„Teraz już pan wie, co w trawie piszczy, prawda?"

„Tak, powierzchownie zbadali."

Próbuję uzupełnić: „Był pomocnikiem Adolfa Eichmanna".

Już szyling w puszce.

Odchodząc, nagle coś sobie przypomina: „Ach tak, to jest ten Novak, który... ach tak..."

Pewnie obecnie żałuje swego datku. Wiercę dalej: „Pomocnik Eichmanna, który organizował transporty".

„Tak, tak, teraz już sobie przypominam"...

„Ale świadomie pan złożył datek?"

„Ależ naturalnie, nie mam nic przeciwko temu".

Nowa przerwa. Wielu przechodniów nie chce nic dać. Dwie osoby usprawiedliwiają się z uśmiechem, że nie wzięły z sobą pieniędzy.

Z banku, przed którym stoję, wychodzi dobrze ubrany mężczyzna i zupełnie nieproszony wkłada dziesięć szylingów.

„Pan się orientuje, na co zbieram?"

„Oczywiście, to jest słuszna sprawa, dlatego chętnie coś dorzucę". Szepcze, oddalając się pośpiesznie.

Jakiś młokos w wiatrówce już z daleka pokazuje monetę.

„Pan wie, o co chodzi". — „Tak, kapuję" — odpowiada w poufnym dialekcie. — „Masz pan jeszcze coś do rączki. Przeczytaj pan dokładnie. Tylko schowaj pan to, tak".

Otwiera podniszczoną aktówkę, zapełnioną ulotkami drukowanymi na cienkiej przebitce i wtyka mi jedną. Jak na razie, wystarczy mi tytuł: „Instytut Badania Prawdy. Prawdziwe przyczyny nikczemnych kłamstw żydowskich o obozach koncentracyjnych". (Tekst tej ulotki drukujemy poniżej). Lekturę zostawiam sobie na później.

Wreszcie ktoś znowu protestuje. Na moją prośbę o ofiarę odpowiada starsza kobieta: „Ani mi się śni. Jak pan może w ogóle coś takiego żądać." Mówię o nowym procesie, na którym zostanie wreszcie ustalona prawda. Odpowiada na to, że chyba nie wierzę, aby Novaka ukarali za surowo. Próbuję wywikłać się z tej rozmowy, prosząc kogoś o datek; wrzuca monetę, obrzucając niedbałym spojrzeniem protestującą. Pytam go, dlaczego daje, odpowiada: „Chcę coś dać". Razem z kobietą bierzemy go na spytki.

Ja: „Czy pan wie, o jakiego Novaka chodzi?!

„Tak".

Ona: „Został skazany niedawno... na osiem lat"

„Tak, tak".

Ja. „Pomocnik Eichmanna... pragnie pan dać coś na niego?"

„Tak".

Nie pozostaje mi nic innego jak podziękować. Kobieta odchodzi skonsternowana. „Ależ to jest nieprawdopodobne"...

Po kilku sekundach wraca. „Chciałabym panu coś jeszcze powiedzieć".

Czy spróbuje teraz wywołać skandal, zamiast pogodzić się z całą tą sprawą?

„Aby pan nie miał fałszywego wyobrażenia o mnie... nie jestem Żydówką ani nikim w tym rodzaju!"

Skromnie ubrany starszy człowiek podchodzi w tym momencie i nie proszony wręcza szyling, przerywając moje stereotypowe zapytanie słowami: „Już wiem. Niech pan się niczym nie zraża".

To wzmacnia odwagę. Zwracam się teraz do przechodzącej siwej kobiety — pierwsza nie może jeszcze ochłonąć z wrażenia. Ale i z tą nie wiedzie mi się.

„Dla Novaka? To jest rzeczywiście skandal!"

Ta pierwsza znów się włącza: „To jest gorsze niż skandal, chociaż ja, jak powiedziałam, naprawdę nie jestem"...

W międzyczasie zjawia się trzecia — w karakułach — i zupełnie nienagabywana wrzuca szylinga do puszki. Druga usiłuje jej coś wyjaśnić, wciągnąć w rozmowę, na co ripostuje ostro: „Wiem, co robię". Dwie pierwsze kobiety odchodzą.

Ofiarodawczyni stoi natomiast jeszcze. Sama wiele przeżyła, opowiada, i dlatego jest tak czuła na wszelką krzywdę.

„To ten proces był, pani zdaniem, niesprawiedliwy?!"

„Po co oni w ogóle to wyciągają, takie sprawy. Przecież nie zdarzyło się to po 45 roku, prawda? To trzeba by również... to należałoby wszystkich"...

„Właśnie próbuje się odszukać winnych"...

„Niech się pan zastanowi, przecież po dwudziestu latach nie można dokładnie ustalić winy. Jak ktoś powie, że było tak a tak, no to każdy może być winien. Ale kto sprawdzi, jak było naprawdę?" Pokazuje na kobietę z siwymi włosami. „Widać, że bezczelnych nie brakuje. Zaszpiclują każdego, jeśli będą mieć korzyść". I nagle pojawia się na jej twarzy błysk świadomości: „Prawdopodobnie to Żydówka!"

Moje milczenie bierze za zachętę i opowiada, ile to wycierpiała po 1945 roku i co jej zabrano: „Bynajmniej się nie uskarżam. Dziś mam znów wszystko. Byłam zaradna". Odchodząc, nieco się opamiętuje i dodaje: „Nie mogę powiedzieć, żeby w czasach Trzeciej Rzeszy nie popełniano błędów". I z uśmiechem: „Ale, prawda, gdzie jest dużo światła, tam są i cienie".

Na tym kończę mój test i dokonuję obrachunku.

Benon Liberski: Olej

W niespełna dwadzieścia minut wylądowało w mojej puszce okrągłe 160 szylingów plus faszystowska ulotka. Około 45 proc. przechodniów nie wiedziało, na jaki cel zbieram i mimo tego nie odmówiło datków, zaś 45 proc. zdawało sobie sprawę i właśnie dlatego wrzucało do puszki. Przy 10 proc. natrafiłem na sprzeciw, który jednak nie przybrał żadnych zgoła gwałtownych form. Natomiast w ciągu tych dwudziestu minut zostałem wyśmiany przez wielu ludzi jako że wiedeńczycy to wesoły ludek. Nie doszło wreszcie do oczekiwanej bójki. Trzy naciągnięte swetry nie zdały się na nic.

A przed dreszczami, które potem długo jeszcze odczuwałem, nie uchroniłoby mnie nawet dziesięć swetrów.

OSCAR BRONNER

(ULOTKA)

Wiedeń, 11 stycznia 1965 r.

Okólnik do wszystkich

Źródło: Instytut Badania Prawdy

PRAWDZIWE PRZYCZYNY NIKCZEMNYCH KŁAMSTW ŻYDOWSKICH O OBOZACH KONCENTRACYJNYCH

Po zakończeniu II wojny światowej rozpowszechniane są kloaczne pogłoski, że w komorach gazowych obozów koncentracyjnych III Rzeszy miało zginąć podczas wojny 6 do 10 milionów Żydów.

Sensację stanowi coś wręcz przeciwnego! Podczas gdy według ściśle tajnych strzeżonych statystyk, (które znajdują się pod kontrolą Aliantów) przetrzymywano w obozach dla internowanych cywilów, zakładanych z konieczności wojennej ok 800.000 ludzi, dziś w 20 lat po zakończeniu wojny Niemcy Zachodnie i Austria wypłacają odszkodowania dla BLISKO 10 MILIONÓW nowo wynalezionych więźniów obozów koncentracyjnych.

To jest również jedna z najważniejszych przyczyn, wskutek której zamordowano na podstawie fałszywych zeznań Adolfa Eichmanna i Kurta Hössa pod pozorem sprawiedliwości. Bo ci mogliby po prostu udowodnić, że z tych rzekomych 10 milionów ofiar obozów koncentracyjnych, w rzeczywistości 16 mln. Więźniów KZ jest za dużo...

Dlatego można np. w dwadzieścia lat po zakończeniu wojny(!) oglądać DZIŚ obóz koncentracyjny Oświęcim „w oryginalnym stanie", przy czym zupełnie świadomie się przemilcza, że obóz ten w czasie wejścia Rosjan został podpalony i doszczętnie zniszczony. Świadczą o tym wymownie także już PO WOJNIE dodatkowo urządzone komory gazowe i piece do spalania zwłok, jakie zostały wybudowane na rozkaz alianckich zbrodniarzy wojennych przez wygłodniałych NIEMIECKICH JEŃCÓW WOJENNYCH, których zgładzono po zakończeniu robót. To samo odnosi się do Dachau, Belsen, Mauthausen, Ravensbrück itd.

Dające się ustalić straty Żydów nie mieszczą się w ramach konwencji genewskiej i haskiej, i dlatego nie mogą być rozpatrywane pod względem prawnym, że działali w szeregach czystej partyzantki.

Bardzo niebezpiecznie jest nadużywać za pomocą podobnego światowego oszustwa prostoduszności i przyzwoitości narodów. to może stać się kiedyś bardzo niebezpiecznym bumerangiem, a wówczas polecaj się Bogu!

ADOLF EICHMANN

(Wszystkie podkreślenia według tekstu niemieckiego) —

Przekład: STANISŁAW KASZYŃSKI

Przypis: Redakcja miesięcznika wiedeńskiego „Forum", która opublikowała ten reportaż i ulotkę w lutowym numerze z br., opatrzyła również tekst ulotki obszernym komentarzem. Otóż przedrukowano zaledwie najistotniejsze fragmenty. Nie ma wątpliwości co do jej faszystowskiego pochodzenia — należy przypuszczać, że w obiegu jest nie tylko ten egzemplarz. Tekst roi się od błędów ortograficznych i stylistycznych — w przedruku zachowano wersję oryginału. W związku z tym redakcja nadmienia, że wprawdzie są one dowodem analfabetyzmu i kretynizmu, to jednak takie rzeczy nigdy nie szkodziły ruchom masowym, a nawet wprost przeciwnie. O ile mogliśmy ustalić, czytamy dalej w komentarzu, nie istnieje wspomniany „Instytut Badania Prawdy" a mieszkający w Linzu brat Adolfa Eichmanna nie ma oczywiście nic wspólnego z całą tą sprawą. Natomiast agencja „France Presse" podała informację, powtórzoną przez kilka dzienników wiedeńskich, że w końcu stycznia br. wykryto w Buenos Aires faszystowską organizację terrorystyczną, na której czele stoi m. in. syn Adolfa Eichmanna. Według jednych informacji ma na imię Horst, inne podaja to samo imię, którym sygnowano powyższą ulotkę rozrzucona w Wiedniu: Adolf Eichmann.

S.K.

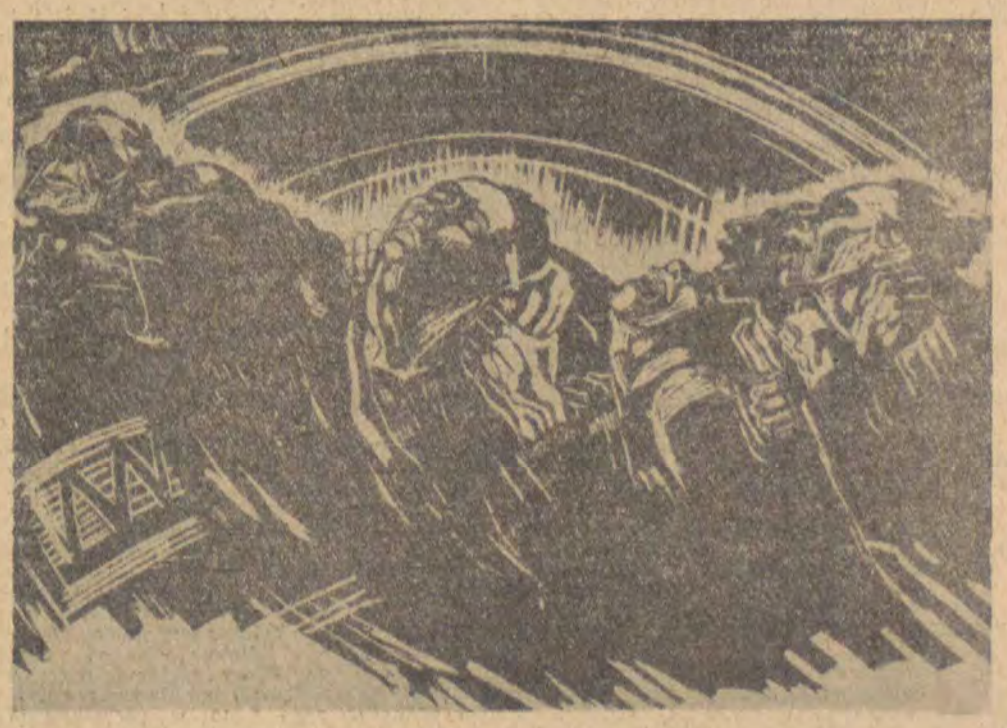

Kaethe Kollwitz — Drzeworyt

ŚCIANA PŁACZU

Dalszy ciąg ze str. 1

A Kot znów — ten trafia z ukrycia! Nigdy nie wiadomo z jakiej strony padnie cios! I w kogo! Lekarz, wiecznie pijany, rozmamłany lekarz medycyny, w czarnych okularach, z małą doktorską teczuszką w ręce — śmiejąc się mówi do Kota:

— Ja nie mam pieniędzy. Ja ci, bracie, piwa nie postawię.

Co na to Kot?... On jest honorowy, charakterny — dwa razy nie prosi On — jak bablowski Benia Krzyk — powie niewiele, ale smacznie:

— Więc poczekaj, chamska mordo, pół godziny. Jaaa ci postawię!

I zniknie z pola widzenia. I pójdzie do żony lekarza, uśmiechnie się uroczo, chytrze skłamie: „Mąż mnie przysłał. Trzeba go wykupić ze „Smakosza". — Trzysta złotych brakło do rachunku".

Kobieta, biedna roztrzęsiona kobieta — uwierzy, co ma nie uwierzyć, i da te trzysta złotych, co ma nie dać; da, bo już dała, bo rzecz się dzieje w czasie przeszłym, a kiedy da, bo rzecz się może powtórzyć, Kot wróci do Pijalni, zawoła lekarza, Kot krzyknie do barmanki, honorowo, charakternie: „Duże piwko dla pana doktora!" A gdy lekarz skończył pić dolę, bo rzecz się dzieje w czasie przeszłym, i poprosił „Kotulka" o jeszcze, ten, jak bablowski Beniuś Krzyk, strzelił krótko, ale smacznie: „Odwal się, chamska mordo! — Nie ten adres."

Lecz nie tylko z tych „numerów" Kotuś słynie. Pewnego razu, po wypiciu piętnastu dużych (w tym cztery złodzieje zwyczajne, czyli cztery tajniaki, czyli wódka plus piwo; dwa złodzieje nadzwyczajne, czyli porter plus wódka; i dwa złodzieje kombinowane, czyli piwo plus wino) — Kotuś stanął na placu Wolności i kierował ruchem. Nieuważny kierowca Staru spowodował wypadek i Kotuś trafił na Komendę MO w stanie opłakanym. Odtąd sława jego — wielka!

Pod względem szaleńczej fantazji — a może amoku? a może delirium? — dorównać Kotu chce Wariacha. Niedawno, po wypiciu swej codziennej porcji — kilkunastu półlitrowych kufli piwa, trzydziestoparoletniemu Wariasze odbiła, jak się wyraził, szajba. Wlazł ów Wariacha na wysokie drzewo, i że to niby psy go gryzą — zaczął budzić biedne miasto. Zaczął krzyczeć w paroksyzmie strachu, skakać jak szympans po gałęziach, wymyślać bogom i ludziom aż zdjęła go stamtąd straż.

Dobre, co? Cała Pijalnia rży z tego zdarzenia. Cholernie zabawne. Wprost niesłychane... Czerwone pogotowie ratuje pijaka, w obronie jednostki drą ciszę syreny. — To się nazywa troska o zalany lud!

Lecz ta troska nie wystarczy!

Uwaga! MO, sanatoria, poradnie! Zmarł człowiek! Zmarł młody człowiek! Od kilku dni zabrakło w Pijalni niejakiego Zdzisława vel Brudne Ucho, stałego bywalca, skończonego alkoholika, degenerata; kilka lat temu przekroczył progi Pijalni i wstąpił na bagna, w schludnym ubraniu i przy zdrowych zmysłach, dziś — rozpada się w ziemi! Osiągnął dno!

Zmarł człowiek! Na piwo! Na niewinne piwo! Na nałóg, który zaczyna się przy kioskach rozłożonych licznie po ulicach miasta. Przy kioskach, gdzie tak zwany szanujący się człowiek, choćby miał pragnienie — piwa nie wypije. Nawet malutkiego, z pianką, cukrem, cykorią... Nie wypije, bo dba o reputację, bo boi się oczu znajomych, bo już utarła się opinia, że kioski oblegają pijacy, wyłącznie pijacy... „Browary dla pijaków!" — napis winien głosić. — „Osobom trzeźwym piwa nie sprzedamy!" Fama zaś głosi, ale fama jest prawdą, że pewien zakochany w chmielu „mężczyzna", na parę godzin przed otwarciem Pijalni, błąkał się po mieście smutny niesłychanie, spragniony okrutnie, oklapły. Bezskutecznie poszukiwał piwa. Jednak, nim zrezygnowany zdążył wrócić do domu, zdarzył się wielki cud (szukajcie a znajdziecie): kiosk, otwarty kiosk, z butelkami! Serce pijaka oszalało z radości, padł więc pod kioskiem. I umarł.

Ale czy nie za dużo o śmierci? Wróćmy lepiej do żywych z Pijalni, z lokalu co się zowie, o pięknym, nowoczesnym wnętrzu, długich stołach barowych, przestronnym bufecie, o ścianie na której zdjęcie przystojnego, różowiutkiego cherubinka, ze szklanką złocistego płynu w dłoni, reklamuje najsłodszy z trunków, kaloryczny, super-zdrowy nektar żywota... O dwu eleganckich toaletach — dla panów i pań, jednak pań tu nie znajdziesz, nawet kokot, nawet prostytutek; wniosek, że przy planowaniu wnętrza popełniono duży błąd.

Panowie zaś... panowie piją z czapkami na głowach, z kapeluszami tyrolskimi, pilśniowymi, z oprychówkami i futerkami; panowie — tych sześćdziesięciu stałych gości, których wyrwać stąd potrafi tylko śmierć; owo niezmienne, codzienne oblicze Pijalni — panowie przepijają ostro i czym się da. Głuptas z Fryzjerem lubią denaturat (jak zwaną dyktę lub wodę na kościach) a przy wielkim święcie raczą się kolońską, wyłącznie męską, „Potrójna" i „Derby", „Damskiej" — bije się w piersi oszalały Głuptas — nie piłem jak żyję!"

Sześćdziesięcioletni, bezzębny starzec, bez pseudonimu, ponoć także były fryzjer, z parą nieodłącznych brzytew w ręku (mawia o sobie, jeśli akurat nie bluzni: „Ja jestem porzunny chłop, tylko straszna „oliwa") — przepija z wysmukłego flakonu fryzjerskiej wody i z lubością popłukuje usta resztkami nie dopitego przez innych piwa.

Nie on jeden spija resztki. Co najmniej jest takich piętnastu. Wśród nich — upadła inteligencja, — Bladziutki staruszek z laseczką w dłoni, zawstydzony, speszony, ratujący resztki godności upartym milczeniem, niewrażliwością na docinki i zaczepki; siwiuteńki pan Edziunio, szarmancki pan Nowaczek, wiecznie zapłakany Księgowy, Docent, Rabin i Profesor.

Bryluje też w Pijalni inny „profesor" — były muzyk, zgasła gwiazda (Ja, panie, u Poznańskiego na przyjęciach grałem. Ja mam Stradivariusa, wisz pan, skrzypce. Znam niemiecki perfect i rosyiski...) — ale on pije jeszcze „za swoje", na razie jeszcze żeru w resztkach nie szuka.

Upadli inteligenci. Ludzie z ambicjami. Skrzywdzeni przez los. Nie mogli być wielcy wśród dobrych, więc przyszli tu, do Pijalni, do najgorszej chyba łódzkiej spelunki, by błysnąć wśród mnogich zastępów motłochu, zboczeńców, zwyrodnialców, łachmaniarzy — tym co zostało z ich dawnej świetności, i w swoim naiwnym, fałszywym przekonaniu — błyszczą.

„Hallo redaktore"

„Saluto aktoro"

„Na zdrowie, byli sportowcy".

„Wszystkiego najlepszego, panie inżynierze! Co słychać? Jak zdrówko?"

Inżynier zwierza się Miłemu, poucza go przy tym łagodnie:

— Gdy jestem akurat na robocie, a łapie mnie podpalanka (nowe określenie kaca), dzwonię do kumpla z nadrzędnej instytucji, i po dziesięciu minutach wychodzę do kibla, aby, jak kumpel zadzwoni, nie było mnie w biurze. Siedzę sobie spokojnie i czekam, tymczasem kierownik, po odbiorze telefonu, szaleje ze złości. Gdzie „S" — wrzeszczy, potem wyciąga mnie z kibla, i czy chcę czy nie chcę, wypycha za drzwi. No to idę do Pijalni i już spokojnie katuję do wieczora. A ty się pytasz jak nawiać z roboty?

Inżynier to człek towarzyski, prawdziwy demokrata, z każdym pogada, każdemu, jeśli ma pieniądze, postawi. Raz go spotkasz z „Holoubkiem" (podobny z twarzy łudząco), raz z trzecioligowym „Zbigniewem Cybulskim" (przezwany tak z racji przyciemnionych szkieł), nie pogardzi Hienką i Kłapaczką, przepije do Szczęki (Szczęka twierdzi z dumą, że od trzynastu lat nie miał w swym pijackim fachu ani jednego dnia przerwy. Jeśli powiesz przy nim coś złego na piwo, z pełną powagi miną, świadczącą o jego niewątpliwej inteligencji, zacytuje ci: co dla jednych jest złotem, dla innych jest łajnem — wszystko w życiu jest względne, zgadzam się z Einsteinem). Inżynier lubi również Złotą Rączkę, znanego kryminalistę o głupiej gębie i maleńkim wzroście, śpiewającego przy lada okazji: „Sława Bohu". Złota Rączka egzystuje tu na wariackich papierach. Onego czasu brał udział w przesławnym napadzie na bank, w wołowskim rififi; dorabiał bandytom haki do włamania i wyrokiem sądu został za to skazany na 6 lat więzienia. Wypuszczony przed czasem z powodu „złego stanu zdrowia", urzęduje obecnie w Pijalni; uczy zapewne młodzież, czternasto-piętnastoletnich wyrostków, zafascynowanych egzotyczną sceneria lokalu i opisem barwnych przygód.

Uwaga: Przedsionkiem Pijalni jest bar „Balaton".

Tu pije młodzież, czternasto-piętnastoletnie wyrostki, ze szkół, ale bez tarcz na ramionach — odprute!

Uwaga! — Część z nich już przychodzi do Pijalni! Do starszych kolegów! Po nałóg! Po śmierć!

Uwaga! W Pijalni piwa przy ulicy Głównej, równie „czarnej" jak ta przy Piotrkowskiej, rozjuszona alkoholem banda zatłukła kuflami człowieka!

Co ja myślę? Co ja o tym myślę? Ja myślę, że w Pijalniach upić się najłatwiej — najszybciej i najtaniej; jeśli ktoś bez wstydu — „skuje" się nawet za darmo, mętnymi resztkami opuszczonych naczyń!

Myślę, że piwo, jako najtańszy z trunków, i Pijalnie, jako najtańsze z lokali (nie płaci się za szatnię, za orientalne pawie puszczane z ostentacją pośród pornograficznie wygrawerowanych ścian toalety, za żłopanie z czapkami na głowach, za uśmiech kelnerki, za obsługę...) — muszą przyciągać najgorszy element; w osiemdziesięciu procentach bezrobotny, choć pracy jest tak dużo, w stu procentach pozbawiony skrupułów.

Myślę, że skoro licencję na sprzedaż piwa posiada każda knajpa, każdy klub, restauracja, kawiarnia (trunku tego w tych lokalach najczęściej braknie i nie dziw się temu: Pijalnia przy Piotrkowskiej, nie licząc butelkowego i porteru, sprzedaje dziennie sześćset-siedemset litrów z beczek; podziel to na sześćdziesięciu stałych bywalców dodaj porter, butelkowe, denaturat, wody kolońskie i fryzjerskie, wódkę, wino i skażony spirytus — wyjdzie na każdego weterana z Pijalni po dwanaście litrów coctailu na głowę). Pijalnie można sobie darować, zlikwidować, przebudować na bary lub sklepy, lub muzea pijanych nieżywych.

Myślę, że czas najwyższy aby zająć się ludźmi z Pijalni, uratować kogo się da... Kota, Szczękę, Marcysia, inżyniera S. i Miłego. Myślę, żeby nie ratować ich pałkami i aresztem, Izbą Wytrzeźwień i mandatem — to nie zdało egzaminu, nie pomogło, gorsze to niż szpitale i perswazja, sanatoria i kontrole. Myślę, że jeżeli Pijalnia ma istnieć, trzeba postawić w drzwiach portiera i nie wpuszczać małoletnich szczeniaków. Myślę wreszcie, że sprzedawcy kradzionych przedmiotów, szalików, długopisów, zegarków, przewijający się tam jak dzień długi...

Uwaga! Umarł człowiek! Kto następny?... Kot? Roman S.? Łysy „Dintojra" z Bałut?

Ale co ja tu o śmierci... Pod ścianą wzięli się za ręce, o piwo. Dwóch kozaków gra w zapałki, o piwo (prowokancki zaczyna, wygrywancki wychodzi, uwaga panowie — emocja). Bractwo się miesza, tasuje, podpala. Kot przepija do Romka, Marcyś do Szczepana, długonogi Baranek z Piotrkowskiej gramoli się pod bufet, wraca właśnie stamtąd Szakal z robocizną, śmieje się obleśnie, bezzębnie; rudy ktoś wyskakuje z mroku goniąc obłędnie to tu, to tam własny, rozpłaszczony na ścianie cień. Rabin szaleje, Księgowy płacze, Szczęka ociera piwo z ust, niewinne piwko, piweńko...

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Ze świata NAUKI

FOTOGENICZNE CIEPŁO

Aby fotografować kamerą doktora Gershon-Cohena nie potrzeba słońca ani rzędu jupiterów. W studio panuje zupełna ciemność. Nie wymaga się również, aby pozująca do zdjęcia osoba była fotogeniczna. Ważna jest natomiast temperatura pomieszczenia. Szczególna ta kamera fotografuje bowiem — ciepło.

Okolice ciała ulegające czynnym procesom zapalnym lub nowotworowym zwiększają swoje ukrwienie i związaną z tym temperaturę. Wręcz przeciwnie, w gorzej ukrwionych miejscach jak np. w bliznach wydzielane ciepło jest odpowiednio mniejsze. Oczywiście, w przypadkach głębiej ukrytych guzów różnice te są niewielkie, możliwe do uchwycenia tylko za pomocą czułych metod.

Dr Gershon-Cohen z Ośrodka Medycznego im. Alberta Einsteina w Filadelfii skonstruował kamerę wrażliwą na cieplne promienie podczerwone, wysyłane przez badany obiekt. Wzrastająca tkanka wymaga lepszego ukrwienia, które rozwija się zależnie od szybkości rozmnażania komórek. Zależnie więc od zmian na kliszy możemy odróżnić nowotwór złośliwy od łagodnego i to w początkowym stadium rozwoju co ma nieocenione znaczenie dla wyników leczenia.

RADIOSTACJA NA ZAGRYCHĘ!

Tak chyba określiłby ten wynalazek pan Walery Wątróbka, bohater wiechowskich opowiadań.

Zaczęło się od tego, że szereg pacjentów zwłaszcza dzieci, niezbyt chętnie poddawał się zabiegowi zgłębnikowania żołądka w celu badania jego treści. Wprowadzenie gumowej sondy jakkolwiek niebolesne, napotyka często na trudności u osób wrażliwych lub nadmiernie uprzedzonych. Zaczęto zastanawiać się nad inną, lepszą metodą. I oto skonstruowano radiosondę która po połknięciu nadaje sygnały odbierane przez odbiornik znajdujący się w pobliżu pacjenta. Wielkość przyrządu nie przekracza zwykłej drażetki mimo, że w jego skład wchodzą: aparat radiowo-tranzystorowy; czujnik czyli urządzenie odbierające i przeliczające poszczególne bodźce fizyko-chemiczne oraz bateria elektryczna. Zakres badań dużo szerszy niż przy klasycznym zgłębnikowaniu. Czujnik pomiarowy podaje nie tylko kwasotę soku żołądkowego, ale również jego przewodnictwo elektryczne, zawartość fermentów i stężenie chlorków; mierzy ciśnienie panujące w żołądku, a następnie w jelicie. Na wyniki nie trzeba czekać. Podawane są natychmiast w postaci wykresu lub danych cyfrowych. W ten sposób lekarz natychmiast otrzymuje rezultaty badań potrzebne do postawienia prawidłowej diagnozy, a pacjent uwolniony od perspektywy połykania gumowego węża może w kontemplacji wczuwać się w rolę — sputnika.

MAREK LRONIKOWSKI

LEON GOMOLICKI

OBORY

Co to jest, właściwie? Trudna odpowiedź. Są już książki tłumaczone na języki świata z adnotacją na ostatniej stronie: Obory. W parku oborskim nieraz słyszałem głos korespondenta pani Z., wołający: Albin, Albin! gdy Albin, zerwawszy się z obroży, rzucał się do żabiej sadzawki, aby wyleźć na jej brzeg czarnym od mułu, powodując lamenty: znów muszę go myć! Słyszałem też: to prawdziwa obora, z plagą much, komarów, te zapachy! Albo: jedźmy do Obór na świeże powietrze — i przyjechawszy siedzą do rana w zadymionym pokoju przy brydżu. Również — protesty: to żadne obory, lecz au bord pani hrabiny Marii Ludwiki Wielopolskiej, siostry królowej Marysieńki Sobieskiej. W tym pałacyku, gdzie nad drzwiami w rzeźbionych obramowaniach zachował się herb Wielopolskich Starykoń, szeleści jedwab francuskich ubiorów. Mówiono po francusku. Mury te budował twórca barokowego Wilanowa. I jeśli była taka już moda na obce nazwy letnich rezydencji, jeśli — Villa nuova, to czemuż w istocie nie — Au bord de la Vistule, przekręcone później na Obory! Miniaturowy dworek podwarszawski, wyspa obcych obyczajów, zakulisowy światek dworu królewskiego, który przecież był także zadworzem wielkich dworów zachodnich, rządzony przez króla, którym rządziła kobieta.

Ten sierpień był wyjątkowo niegościnny, wilgotny, zimny. Notowałem w kalendarzyku: drugiego — padało, trzeciego — padało, czwartego — pochmurno, piątego — zmiennie. — Parę dni słońca, potem znów pada, pochmurno, leje. Telmanowski pałacyk właściwie od reprezentacji: wielki hall, wielkie salony (gdzie grają w brydża), sala jadalna. Dla gości tylko trzy pokoje. Więc większość zamieszkuje oficynę. Z drzwi oficyny widok na pałac, odległy o sto—dwieście kroków. Włożywszy sweter, nieprzemakalny płaszcz, a nawet nieprzemakalną czapeczkę (bo właśnie był dzień z adnotacją: leje) przebiegłem tę przestrzeń. Koło jedenastej przyjeżdża na rowerze listonosz i przywozi gazety i listy. Są zawsze goście, którzy kręcą się wtedy, udając, że nic ich to nie obchodzi, a potem już po gazetach. Trzeba też mieć trochę przebiegłości, aby ich wyprzedzić. W ten sposób znalazłem się w biurze, za lewym od hallu salonem, gdzie stoi telewizor i zawsze o tej porze urzęduje pani Danusia. Uzasadnieniem mojej obecności — przeglądanie serii zdjęć pałacu, parku, które można kupować (nowość tego roku). Stąd też rozmowa na temat historii Obór i pani Danusia wyciąga z szuflady biurka odbitkę z *Biuletynu Historii Sztuki* z rozprawką Andrzeja Ziena *Dwór w Oborach*. Również zaskoczenie dla mnie i teraz już wiem na pewno, jak to jest.

Przede wszystkim — nazwa. A jednak autentyczna polska. Bo pierwsza wzmianka — w dokumencie z roku 1433. Wtedy i po siedemnasty wiek — Obory własnością Oborskich. W 1642 kupił je Koniecpolski, 1650 — intromisja Wielopolskich i już Wielopolscy do śmierci Urszuli Wielopolskiej w roku 1806, kiedy Obory przechodzą do Potulickich.

Parę lat temu przeglądałem w Warszawie, w Bibliotece Uniwersyteckiej komplet „Kuriera Warszawskiego" z roku 1828. Chodziło mi o jedną z dat mickiewiczowskich. Jesienią 1828, przejeżdżali przez Warszawę w drodze z mglistego Petersburga do Włoch przyjaciel rosyjski poety, Sergiusz Sobolewski i hrabia Ricci, włoski śpiewak i kompozytor. W „Kurierze" tamtych lat umieszczano cotygodniowo rubrykę: kto przybył do Warszawy. Myślałem, że tam znajdę dokładną datę ich przyjazdu. Nie znalazłem. Okazało się, że rubryka, owszem, ale tylko z uwzględnieniem osób rangą nie niżej generała. Za to co tydzień prawie „Kurier" notował przybycie do stolicy hrabiego Potulickiego z Obór. Ten dziwny dla nas teraz format dziennika — złożony na czworo i nie wietrzejący zapach drukarskiej farby, wypukły druk, przebijający na drugą stronę papieru, odgłosy zmatowiałych, oboraz-nazwa, wytyczony przebytą niejetnych spraw i nagle jeden wyraz drogą: w dół spod Belwederu, Królewską Drogą, aleją wiekowych drzew, na która wyszedłem żywy z płonącej Warszawy, z której potem patrzyłem na daleki dom, gdzie została żona — ten dom jeszcze jest widoczny, ale już nie góruje jak wtedy, bo obok wyrosły nowe, wyższe, okazalsze, potem przez Wilanów, w którym siedziałem w obozie — tyle tu posiano dawnych spraw! — i drogą, którą tyle razy jeździło się autobusem, autem, furgonetką związkową, taksówką. Pamiętam pierwsze wskazówki: trzeba wysiąść przy szmaciarni i pytać o obory. Pierwszy raz — w zimie 1950, bo Związek Literatów przejął oborski dworek w czterdziestym ósmym. Byłem jednym z pierwszych, a potem stałym, corocznym, ściślej — cosierpniowym gościem.

W pierwszych po wojnie latach literaci, czekając na mieszkanie w Warszawie, odsiadywali w Oborach. Z dziesięć lat temu, kiedy nie było jeszcze oficyny, tj. może i była, lecz tylko jako stary domek po hrabiowskiej służbie. Było pięć pokoi w pałacyku i w jednym z nich czekał właśnie na Warszawę ktoś, kto zamilkł jako poeta na długo jeszcze przed wojną. Ale nic go nie ugięło — ani wojna, ani twarde warunki nowego. Musiał mieć kawiarnię. Co dzień kazał zakładać konia, poczciwego Pomidorka do zabytkowej bryczki (bo jeszcze Obory nie były zmotoryzowane) i jechał na kawę do Gospody Ludowej w Jeziornej, gdzie robotnicy i chłopi piją piwo i jedzą bigos. W bryczce siedział wyprostowany i uroczysty. Jeśli padało, owijał nogi kocem i otwierał nad głową czarny parasol.

Literatura ma własny czas, nie pokrywający się z kalendarzowym. Są okresy puste, dłużące się jak ogrodzenia otaczające nieużytki. Potem ktoś przestawia zwrotnicę. Właśnie — *Zwrotnica* istniała niecałe pięć lat. Później życie wekslu je się na boczny tor, pozostają jedynie rekwizyty w rodzaju czarnego parasola i podłej kawy w gospodzie. *Chimera* to epoka, ale i ona istniała nie dłużej. Jej czas rozciągał się potem w próżni jeszcze oporniej, jak guma.

W Oborach co roku gości Józefina Walewska, która przyjeżdża tu z Krakowa. Podobno była piękna. To mówią nie tylko portrety, które malował jej drugi mąż, Ignacy Pieńkowski, ale i ci, co widzieli ją na scenie. Ojciec — Józef Rogosz: to też już historia. Współtowarzysz Lama, pierwszy wydawca dzieł Kraszewskiego, płodny powieściopisarz. Lwów na przełomie stuleci i Kraków. W domu bywali Asnyk, Bałucki, Bliziński. Modrzejewska spokrewniona z rodziną matki. Chrzestnymi rodzicami Józefiny — Eliza Orzeszkowa i Włodzimierz Spasowicz. Siostra jej — Zofia Rogoszówna, znana pisarka dla dzieci, jej *Pisklęta* napisane zostały na południu Francji, w Arcachon, gdzie chora na gruźlicę Rogoszówna mieszkała razem z Bronisławą Ostrowską (więc tam powstają i wiersze z cyklu *Chusty ofiarne*). To Ostrowska namówiła Józefinę do kariery scenicznej. Debiut w roku 1911 w warszawskim Teatrze Narodowym w roli Beatrix Słowackiego. A jeśli się cofnąć, w okresie jej pierwszego małżeństwa we Lwowie — Staff (dwudziestoszścioletni!), Niesiołowski (dwadzieścia dwa), Wincenty Korab-Brzozowski, Zawistowska, Kasprowicz (najstarszy w tym towarzystwie, zgorzkniały po odejściu pierwszej żony — w kawiarni Sznajdra po paplaninie z paczka zasiadał w ciemnym kącie do domina), w Zakopanem — Tadeusz Miciński, łysy, umizgający się do panienek (trzydzieści cztery, więc wtedy już — starszy, śmiesznawy pan!).

Po ostatniej wojnie granice wieku dojrzałego znacznie się przesunęły. Właśnie w Oborach obserwowaliśmy taką młodzież po trzydziestce, bardzo przejętą przywilejem swojej młodości. Nikt i nic poza nimi! Siedzieli przy osobnym stoliku, demonstrując pogardę. To były czasy, kiedy właśnie sąsiedni Mirków ruszył, kiedy aktualne było pytanie: czy pisarz ma prawo do błędów, na co odpowiedziano: pisarz ma prawo do prawdy, błędy zaś robi na własny rachunek.

Potem karty się pomieszały i teraz południk dzielący pokolenia nie biegnie przez Obory. Na lato wyjeżdża się za granicę, a tu dobija ostatnie dni urlopu. Poważniej to miejsce traktują ci, którzy nie wyjeżdżają daleko. Ludzie innych epok.

JERZY WILMANSKI

Nasza brygada

— No marksisty — leninisty — mawiał zawsze rano Wronka — w kosmos!

— No nie — Wronka, znowu zaczynasz — krzywił się z niesmakiem stolarz Suwmiarka — Wronka, ty zawsze wszystkich podprowadzasz — i sięgnął do kieszeni.

Po chwili ślusarz biegł do SAM-u skąd przynosił pół litra.

— Ale tylko pół litra — zastrzegał co rano Suwmiarka — tylko do śniadania i dość.

Po pół litrze Wronka już nic nie mówił. Wyciągał tylko z kieszeni dwudziestkę i kładł na stole patrząc obojętnie na zakurzone ściany warsztatu.

— Eh, Wronka — mruczał Suwmiarka, tym razem już łagodniej. — Eh, Wronka, z ciebie jest kawał drania.

Drugie pół litra piliśmy wolniej.

Około pierwszej wpadał zwykle do warsztatu brygadzista, jeden rzut oka na stan brygady wszystko mu wyjaśniał i wtedy zaczynał kląć.

— Skurczybyki — wołał — znowu chlali, a tam na Polesiu regały w sklepach nie zmontowane, u Rysiaka zepsuł się kran. Matecka nie może zamknąć magazynu, bo antaba urwana od tygodnia, znowu, cholera, chlają, ja wiem, że to ty Wronka, już dawno należy ci się wymówienie za rozpijanie brygady...

— Niech się pan odczepi od Wronki — wtrącił ślusarz — pan wie, że on w Oświęcimiu...

To zawsze dezorganizowało brygadzistę. Usiadł ciężko na skrzyni i mruknął już zupełnie bez złości.

— Wiem, wiem, Wronka 30 kilo ważył. Ale co do cholery ma waga Wronki sprzed dwudziestu paru lat do dzisiejszej roboty.

— Jak to nie ma? — dziwił się Wronka — ja, ptaszku, do końca życia nie odrobię tamtych lat.

Niby racja. Brygadzista zamyślił się filozoficznie a Suwmiarka pobiegł do SAM. Tym razem po litra. Wszak było nas już pięciu.

Po litrze Wronka nastrajał się zwykle krytycznie do świata i dyrekcji naszej firmy. A może raczej przede wszystkim do dyrekcji. Naczelnym argumentem byłem z reguły ja.

— Co wy wieta — machał lekceważąco ręką, — co wy tam wieta. On — wskazywał na mnie — by was wszystkich sprzedał. On mądrzejszy od waś wszystkich. I od nas mądrzejszy. Wiesz ptaszku, on jeden jest tutaj czysty. Nie wziął ani jednej śrubki z warsztatu. Skrzynki też nie...

— No, no, Wronka — mitygował go brygadzista — po co tam za dużo gadać. Zaraz wyjeżdżacie z tymi skrzynkami...

— Bo chłopak — ciągnął Wronka — szkoły skończył i wódkę z nami pije chociaż ma dużą maturę. A kto w dyrekcji ma dużą maturę? Tylko główny księgowy.

Potem zaczynała się bezładna dyskusja o tym ile kto najwięcej wypił, czy kosmonauta może pić wódkę i oznaką czego jest długi nos Mateckiej ze sklepu 111.

Pod wieczór dyskusja traciła rumieńce. Suwmiarka drzemał, brygadzista myślał o czymś intensywnie a Wronka nucił obozową piosenkę „Bo Polak mocny jest jak lew".

Wracałem do domu pustym tramwajem, we łbie huczało, kiedy przymykałem oczy wchodziłem na orbitę diabelskiej karuzeli — wszystko zaczynało wirować. Tramwaj, ulica, miasto całe wyruszało w kosmos — pędziło, wirowało — musiałem otwierać z wysiłkiem oczy i wtedy wszystko wracało do normy, tramwaj znów wlókł się kamienistą ulicą, w domach gasły światła, konduktor drzemał przy wejściu. Jemu nie wirował świat. On nie kosmonauta.

Od przystanku miałem do domu pięć minut drogi — mieszkałem wówczas wśród starych, drewnianych ruder na Bałutach. Pięć minut. Przez pięć minut kosmonauta obleci kulę ziemską. To strasznie daleka droga. Tysiące, tysiące kilometrów.

Przez te pięć minut — a może raczej na tej straszliwie długiej trasie zmieniło się bardzo wiele. Nie gniewaj się Wronka — ale musiałem rzucić naszą fajną brygadę. Nie wloką się za mną lata, które mógłbym odrabiać, o których chciałbym zapomnieć. Rzuciłem naszą brygadę, bo na tej nieskończenie długiej trasie od przystanku do mojego starego domu dostrzegłem, że twoje kosmosy — Wronka — były kuszące, ale z twojej orbity nie sprowadza się nigdy statków z powrotem na ziemię. Nie chciałbym do końca wirować w tym kuszącym, przezroczystym jak kryształ kosmosie. Dlatego w ciągu tych pięciu minut, a może tysięcy kilometrów, wylądowałem na nie brukowanym kosmodromie mojej uliczki. Ale wiedz, że nie żałuje lat spędzonych w naszej brygadzie, bo wszystkim nam potrzebna jest skala i potrzebny jest czas na dojrzewanie.

Śmiech

— Zrób piwo, co ci szkodzi, nudno pić samemu, zresztą i tak doskoczy któryś z szakali i będzie do ciebie strzelał o dychę. Postawisz mnie — oni już nie dojdą — znają Arka — Arkadiusz mi na imię — i nie dojdą, zarobisz na czysto siedem złotych, no, cztery złote, jeśli postawisz dwa — ale to i tak dla ciebie czysty interes...

— Oczywiście, zimne, mam tu trochę soli, tobie też moge dosypać — lubię słoną zakąskę — słone piwo to zakąska i picie w jednym naczyniu, tak jest praktyczniej, no i nie przeziębi się gardła. To bardzo ważne — gardło trzeba chronić, bez tego człowiek nie może krzyczeć, a cóż jest wart człowiek, który nie może krzyczeć. Mnie za Niemców — chłopakiem byłem jeszcze też krzyk uratował i ćwiartka buraczanki. To było w Warszawie, szedłem skuty na cztery zawiasy, a szczeniak wtedy byłem — chyba szesnasty rok, bo to było w czterdziestym trzecim. Na Placu Trzech Krzyży stało paru wachmanów — grube chłopy, jakieś Bawarczyki czy co — patrzyli na mnie i śmiali się, a jeden zdjął bergmana i zaczął do mnie celować. Wiedziałem, że mnie tylko straszy, a może zresztą nie straszył — te Bawarczyki to byli najgorsi — i zacząłem krzyczeć „her oficer majne libe" — i ten z bergmanem zaczął też się śmiać — śmiali się długo, pamiętam szedłem do Brackiej, a jeszcze długo słyszałem ten śmiech. Byłem wtedy u ciotki — dobra to była ciotka, po wojnie wzięła mnie tu na te zasrane Chojny i zaraz potem umarła, a ja sprzedałem z wujem domek i gazowaliśmy przez cztery miechy. Potem wuja wzięli do wariatów — mnie już wiek nie pasował do sierocińca to zostałem na Chojnach, na strychu tego domku cośmy go z wujem sprzedali. Tylko ta stara prukwa co go od nas za głupie pieniądze kupiła, podała mnie na poradnię więc przyszli i mnie związali. Dawali prochy — antabus i jeszcze jakieś, ale mi się zrobiły strupy na rękach i doktór powiedział, że jestem alergik i mogę pić, zanim doktorzy nie wynajdą coś nowego przeciw wódce.

— Tamci Niemcy co się tak śmiali jak szedłem skuty tą buraczanką, to jak myślisz — wyszli z powstania? Lepiej żeby nie wyszli. Ja ciągle słyszę ten śmiech i jak sobie pomyślę, że oni żyją i wciąż jeszcze śmieją się ze mnie to zdaje mi się, że nieważna jest ta cała wygrana wojna. Dla mnie nieważna. A przecież tak to jest — jeśli oni żyją, to przecież mogą się ze mnie śmiać jeszcze głośniej niż wtedy na Placu Trzech Krzyży w czterdziestym trzecim...

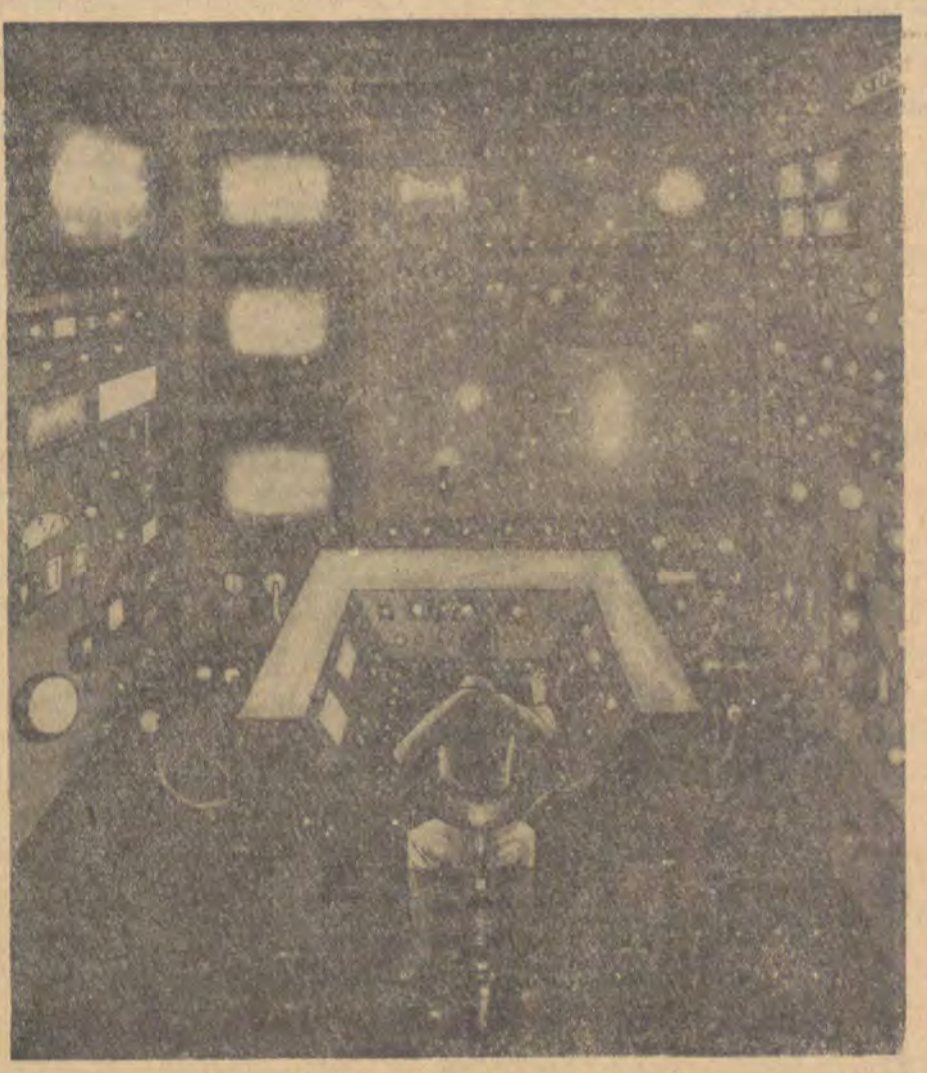

Benon Liberski — „Dyspozytor" — olej.

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Między KLASAMI

Ryngraf z Matką Boską Ostrobramską — w prezencie od Celiny — wisiał poza zasięgiem światła, był więc tylko zwykłym zgęszczeniem czerni, z której pobłyskiwała maleńka baśniowa klinga księżyca. A sam księżyc nie budzi skrępowania.

Celina wyprężyła się jak do mostku; chcąc niby pokazać, że nawet przy gwałtownych ruchach piersi jej nie chmajtają w prawo i w lewo, tylko kołyszą się sprężyście.

— Jakie masz piękne ramiona...

— Wiem. Jak jakaś koza w Mińsku, co rzucała dyskiem. Powtarzasz się. Ale ja nie umiem rzucać dyskiem. — Przed chwilą była wcieleniem tkliwości, teraz stała się zła i cięta.

Ładnym, choć przesadnym ruchem sięgnęła po list Profesora na szafce.

— „Mnogo uważajemyj Fadiej Awrelejewicz!" — odczytała nadspodziewanie biegle, jak na to jej przychodzenie od wielkiego dzwonu na lektorat. Odcyfrowanie następnego zdania i dalszych, upstrzonych secesyjnymi zakrętasami, było, rzecz jasna, ponad jej rusycystyczne możliwości. Profesor informował mnie na wstępie, że jego serdeczny przyjaciel, futurysta Wasylij Wiktorowicz Kandinsky dał mu niegdyś w podarunku ku wiecznej pamięci obrazek przedstawiający pół człowieka, pół powoju, oplatającego innych ludzi i rośliny. Treść obrazka posłużyła sformułowaniu pierwszego wskazania na moją niebezpieczną — bo już bez jego przyjacielskiego oka — drogę życia: „Nie byt' siebialubieszkoj". Potem następowało dziewięć dalszych wskazań.

— Coś o malarstwie — wydęła swe karminy; analogicznej barwy plamki miałem od jakiegoś czasu na różnych partiach ciała. — Dobraliście się z twoim pryncypałem, szkoda słów! Sołowjowa czytujecie. A tymczasem głupia zieleniarka na rogu większe ma pojęcie, co się dzieje na uniwersytecie, niż pan asystent. Twoimi notatkami do doktoratu można by już pół fury załadować, a powiedz no mi, jakie organizacje należą do Komitetu Koordynacyjnego Organizacji Studenckich? No? Albo jaką siłę na humanistyce posiadają „Wici"?

Zaprzeczyłem, że aż taki zielony nie jestem, i odciąłem się bez gniewu, raczej dla prestiżu, że to ona skłonna jest patrzeć na życie naukowej instytucji z perspektywy — Żółkiewski użył ostatnio w „Kuźnicy" tego zwrotu — sklepiku z pietruszką.

— Naukowej instytucji — powtórzyła ironicznie. — Wiesz, z czym komisarczyki z „Życia" ostatnio przyszli do rektora? Podaj mi camele. Z boku, za parawanikiem.

Podniosłem się niechętnie. Mimo wszystko krępuje mnie defilowanie przed nią w tym stanie.

— Żeby czynnik asystował przy egzaminach. Wiesz, kto to jest czynnik? No, ładny z ciebie chłopak. Ramiona masz..; aha, klasyczne. Wiesz, z jakiej epoki? Macedońskiej. Wtedy była moda na infantylnych efebków. „Koń gotów i zbroja" — zanuciła niespodziewanie swym dźwięcznym mezzosopranem i podłożywszy łokieć pod głowę, opadła na łóżko w pozie drzemiącej Wenus Giorgiona. — Wiesz, myślę, że pracę napiszę wcale niezłą, tylko że jej jedynymi czytelnikami będą twój pryncypał i promotor. No i?... Koń gotów. Czas siadać. Tobie nawet nie przyszło do głowy, na jakiego konia. Na takiego, syneczku, który ma największe szanse dojechania, i wiadomo, że nie zrzuci.

— Jestem naukowcem, nie woltyżerem.

Roześmiała się lekko i gładząc moje kolano zaciągnęła się camelem.

— Wiesz, genialnie. Może byś się z takim właśnie referatem wybrał do Bratniaka. Dlaczego jestem naukowcem? Był już w Gęsim Piórze jeden: Dlaczego jestem anty, i „życiowca": Dlaczego jestem pro? Wyobrażam sobie, jak by się obie strony w świętej zgodzie narodowej na ciebie rzuciły! Mikołajczyk prawdopodobnie wybory wygra: ma za sobą społeczeństwo. Zachód i bombę atomową. Wschód ma wsiewo mnogo znaczy powojennych kłopotów. Co najwyżej, będzie trochę pukaniny w gronie rodzinnym. Naukowiec z gęsią skórką! Głupsi od ciebie natychmiast pociągną, gdzie trzeba — na stanowiska...

— Była zasadnicza i okrutna sprzeczność między ruchami jej palców, a tym, co mówiła. A i druga, pochodna sprzeczność między dwoma nurtami mego rosnącego wzburzenia. — Zamiast zakrzątnąć się wokół pozycji, zabawiasz się ze starym ramolem w przynoszenie sobie liścików z ajochami, póki ci unrrowskie inekspry mable ostatecznie nie zlecą, o, z tego właśnie! — pokazała.

Odpowiadając uniosłem się, także dosłownie.

— Ty to jak książę Józef — wymachiwałbyś tylko po próżnicy niezmiennikami. To nie miała być aluzja! — I uzupełniła z pogodnym uśmiechem: — On sobie mógł na te wzniosłości pozwolić, bo miał niczego majątek... No, zgoda już, zgoda! — przecięła naraz dyskusję i wykonawszy zadziwiająco sprężysty skręt tułowia, zyskała fantastycznie na podobieństwie do Wenus Velazqueza; brakowało jedynie Amora, który by trzymał zwierciadło wprost jej niewidocznych w tej konfiguracji, a zapewne łagodnych i migotliwych zielonkawych oczu. — „Dziewczyno ty moja, uściśnij, daj miecz!" — zanuciła recitativo.

Swoją drogą nie lubię w niej tego lekkiego stosunku do naszych starych pieśni.

— Czego wy, u diaska, ode mnie chcecie? — podjąłem po odzyskaniu oddechu poprzedni temat. — Stary mnie i w tym liście szarpie w jedną stronę, ty w drugą. — Przemilczałem o krzyżu pańskim, jaki mam z kopanymi, z panią Miecią, a także o rozmowach z Wadzkim, bo to by pchnęło dyskusję na inne, burzliwe tory (nienawidzi licealnej). Dopiero byście byli usatysfakcjonowani, gdybym się rozdarł!

Nagle przypomniał mi się taki obrazek z dzieciństwa; gram sam z sobą w klasy. Skoczyłem już dość daleko, tam gdzie dwie przeciwległe klasy tworzą na piasku ramiona gigantycznej lali; rzucam kamyk, unoszę się lekko i nagle — chwilowy zanik odwagi — a potem każda noga tkwi w innej klasie, ja zaś nie mogę ich połączyć, przeciwnie — coraz bardziej rozkraczają się i boję się, by nie doszło do bolesnego zapewne rozdarcia. „Tatusiu"! — wołam, ale ojciec rozmawia z panem... Szarpnąłem obiema nogami naraz, i pomogło. Jestem już obu nóżkami w klasie. „Bo chciałem!" — obwieściłem ojcu swój triumf woli nad materią. „Bardzo ładnie" — pochwalił, najprawdopodobniej nie wiedząc, o co chodzi. Chcieć to ostatecznie nie jest najtrudniejsze, trzeba wiedzieć, czego chcieć — podważyłem mimowolny morał tego przypomnienia i słuchałem jej racji z przekorą człowieka, który z własnej woli tkwi nadal po obu stronach wyrysowanej na piasku bruzdy.

— Po prostu chcę, żebyś nie był, no, tym czymś, co tak uwielbiasz w mojej, hm... klasycznej budowie. Musisz mieć kilka rzeczy, żebyś w kluczu się liczył, i to, co ludzie mają — pieniądze. Czy ty myślisz, że co drugi profesor nie dorabia sobie? Jak nie czym innym, to handlem. Kto żyje z demokratycznej pensji? Niedojdy, tak jak twoi szanowni koledzy i koleżanki. Aż śmiech bierze, jak na wywiadówce telepie się to w wytartej sukienczynie sprzed wojny i wykoślawionych pantoflach! Budujące! A wiesz, że Nina nie chciała iść do szkoły? Twoja hołota licealnej czepia się jej. Dopiero jej strzeliłam w papę, wzięła teczkę i pochlipując poszła. Ja' ty mogłeś tak pan brat jak świnia z pastuchem!?... wiec tak, jak ci proponował Stef, zgodź

Teraz też się nie zgodziłem i wysnąłem poprzednie obiekcje.

— Edison — przerwała — też podobno był naukowcem i, jak się zdaje, nie gorszym od ciebie, a handlowanie zapałkami nie tylko mu nie zaszkodziło w sukcesach, ale poważnie pomogło. Jeżeli ci Stef proponuje, znaczy, że mu się to opłaca. Hurtownicy nie sprzedają drobnym klientom, od tego są detaliści. To ci powinno wystarczyć. W handlu panuje zasada: wiedzieć co trzeba, żeby móc sprzedać, a nic więcej cię nie powinno obchodzić.

Zaczęła się ubierać.

— Nie chodź. — Naprawdę nie chciałem, żeby odchodziła, choć z drugiej strony czułem się trochę nierycersko osłabiony.

— Coś ty? Twoja Dulska by mnie wodą święconą przekropiła. A jeszcze jakby się ta jej adwokatowa dowiedziała... heca! Całą noc tłukłam się otwartą ciężarówką, nawet bez plandeki, jutro muszę być świeża i wypoczęta. Jak znajdę czas, wdepnę na twoje prosemi narium. Możesz mnie nawet pytać o tych wszystkich pribautek-zapiewów loci communes, tautologicznych pleonazmów i temu podobnych bzdurstw. Mój niedźwiadek zaraz będzie spał, a gdyby się w nocy obudził, to zapali sobie lampę i — pokazała na akt — bo dzie mu się zdawało, że to ja.

— Co? Ta wypacykowana małpa z koślawą du...

— Nie bądź trywialny jak bałuciarz. „Czerwone maki na Monte Casino..." — zaśpiewała, zapinając szybkimi ruchami różowy pasek do pończoch.

(Fragment z powieści „SZKOŁA DWOCH DZIEWCZĄT")

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

Gałąź wawrzynu

(NA WYSPACH DALMACJI)

Taki sam smak miała niewiedza szczęścia,
które stało się szczęściem nazajutrz,
dopiero gdy już minęło —
zjawiwszy się uśmiechem żalu.

Kwiaty i fioletowe wezbrane grona,
kwitnienie i owocowanie,
płomyki barw wiodące w przyćmione groty,
biel, ukojenie —
w smukłych alejach białe samotnice
tajemniczo uśmiechnięte,
gdy zbliżam się, za łagodnymi posągami
przy pałacach o zamkniętych okiennicach
z mijanej bajki wędrowca.

Wyłaniają się, omglone zielenią, nadzieją,
trójkątne wyspy jak uchylone bramy
w oczekiwaniu...
przejmujące ciszą —
szlaki morskie mieniąc się łuską, opalem
podają kielichy z pienistych kryształów
znikające nagle —
Łódź nieznana daży naprzeciw
progami przypływu
zbliża się, zbliża powoli
pod szkarłatnym żaglem.

* * *

Mała dziewczynka biegła białą uliczką,
skrawek błękitu w słonecznej bieli,
matka czeka na tarasie, spokój niedzieli,
gorąca dłoń blasku gładziła
zmierzwioną czerń włosów i marzeń,
echo stukało jak fala o burtę łodzi
i uniosło uliczkę, mury, winorośla
w zmatowiałe tło średniowiecznego obrazu.

Nadbrzeżem obejdę dokoła
po spalonych trawach,
mijam krąg palm daktylowych,
drzewa chlebowe i pinie,
śmieją się śniade sprzedawczynie
dojrzałych melonów,
ocieka czerwony sok
przeciętego kawonu.

koszyki barw, błyski oczu,
jędrne grona, stosy wonne
żółcą się, szkarłatnieją daleko,
we mgle złocistej się toczą —
w świat wędruje w jarzącym pyle światła
karawana zwierząt,
karawana przygód
ożywcza jak miłosny napój.

ALFONS PELLOWSKI

50 LAT łódzkiej FILHARMONII

Dnia 17 lutego br. upłynęło 50 lat od pierwszego koncertu danego przez Filharmonię Łódzką, zwaną dawniej Łódzką Orkiestrą Symfoniczną. Dzień ten — przyjęty jako data powstania tego zespołu — był już w pierwszą rocznicę (1916r.) przez łódzką prasę mocno zaakcentowany i entuzjastycznie komentowany jako wydarzenie epokowe w dziejach kultury muzycznej naszego miasta. Chcę więc i ja przypomnieć współczesnemu społeczeństwu łódzkiemu okoliczności powstania i początki działalności tej pożytecznej instytucji.

Pożoga wojenna w 1914 r. szczególnie dotkliwie uderzyła muzyków łódzkich. W sali koncertowej i w salach teatralnych stały łóżka z rannymi. Lokale rozrywkowe były pozamykane, a restauracje obywały się bez muzyki. Szkoły muzyczne i towarzystwa muzyczno-dramatyczne przerwały swoją działalność, albo nawet zanikały. Toteż muzycy przeżywali wyjątkowo krytyczne chwile, bo popadli w biedę, głód i nędzę.

Dzięki energicznej inicjatywie pianisty, kompozytora i dyrygenta Tadeusza Mazurkiewicza, Józefa Friedberga i Gotliba Tecimera urządzono dnia 17 lutego 1915 r. w Teatrze Wielkim przy ul. Konstantynowskiej (Obrońców Stalingradu) 16 pod dyrekcją Tadeusza Mazurkiewicza koncert symfoniczny, w celu przyjścia z pomocą materialną biednym muzykom. Koncert był z powodu nadzwyczajnej frekwencji bardzo dochodowy. Zachęcony takim powodzeniem postanowił ten 60-osobowy zespół, złożony z zawodowych muzyków i muzyczących nie wykształconych amatorów, nie rozpraszać się, lecz dalej odbywać próby pod dyrekcją Tadeusza Mazurkiewicza. Wybrano tymczasowy zarząd i ustalono nazwę tego zespołu: „Łódzka Orkiestra Symfoniczna" (ŁOS). Zastępcą dyrygenta został Robert Bräutigam, a koncertmistrzami skrzypek Czudnowski i wiolonczelista Horak. Wkrótce urządzono (również w sali Teatru Wielkiego) następne koncerty symfoniczne: 10. III., 8. IV., a począwszy od maja, czyli w sezonie letnim w parku im Staszica przy ul. Dzielnej (Narutowicza) 60. Koncerto wano tam nawet cztery razy w tygodniu: w soboty, niedziele, poniedziałki i wtorki.

Dnią 16 kwietnia 1915 r. przyjął protektorat nad ŁOS Karol Wilhelm Scheibler. Od tej chwili próby i koncerty tego zespołu odbywały się w Łódzkim Domu Koncertowym, czyli w dzisiejszej Filharmonii przy ul. Narutowicza 20. W tym też czasie Miejski Komitet Plantacyjny oddał do dyspozycji zarządu ŁOS park im. Staszica, w którym była dobra muszla koncertowa. ŁOS w zamian za to dawała w sezonie letnim od 8. V. do 5. IX. bezpłatne poranki niedzielne, przeznaczone dla organizacji i stowarzyszeń robotniczych, oraz za minimalnym wynagrodzeniem urządzała koncerty na cele filantropijnych i społecznych instytucji.

Pomimo pokaźnej liczby przeszło 60 instrumentalistów, nie stanowił zespół ten kompletnego zestawu instrumentalnego. Brakowało bowiem jeszcze oboju, drugiego fagotu, waltorni i trzeba było uzupełnić kwintet smyczkowy, zwłaszcza basy i wiolonczele. Braki te uzupełniono jeszcze przed otwarciem (7. X.) sezonu zimowego 1915-16. Wprowadzono też dla młodzieży szkolnej poranki muzyczne o dwuczęściowym programie: w I części utwory lżejsze, popularne, a w II części utwory poważniejsze. Dla wygody członków ŁOS urządzono też kooperatywę, w której orkiestranci mogli zaopatrywać się m. in. w artykuły żywnościowe.

Przy końcu tegoż sezonu zrezygnował ze stanowiska dyrygenta ŁOS Tadeusz Mazurkiewicz, a miejsce jego zajął — począwszy od sezonu zimowego 1916-17 — Bronisław Szulc z Warszawy. Oprócz niego dyrygował w tym czasie ŁOS także najpopularniejszy dyrygent polski ówczesnej doby, Zdzisław Birnbaum i łódzki dyrygent Aleksander Türner.

Bronisław Szulc wniósł do programów koncertowych szereg nowych, lub w Łodzi mało znanych utworów symfonicznych młodszych kompozytorów. Pojawili się bowiem w programach tacy kompozytorzy jak: Rachmaninow, Mahler, R. Strauss, Bruckner, Skriabin, Głazunow i przede wszystkim Brahms, na którego utwory Szulc kładł większy nacisk. Sprowadzał on też wybitniejszych artystów warszawskich jak Birnbauma, Rydera, Melcera, Brzezińskiego, Margot-Kaftal, Karolewicz-Waydową, Modrzycką, Dobosza, Gruszczyńskiego, Czaplińskiego i Kochańskiego, a z zagranicy Friedmanna, Thonberga, Flescha, Hubermana, Földaszy'ego, Wandę Landowską, Backhausa, Klengla i in. W koncertach wprowadził on taką innowację, że dwa koncerty w miesiącu były wyłącznie symfoniczne, a dwa z solistami.

Byt ŁOS był jednak stale niepewny. Toteż w celu poratowania kasy otwarto w Łódzkim Domu Koncertowym kinoteatr, w którym w czasie projekcji, w antraktach, przygrywała ŁOS. Powstało też niebawem (9. X. 1917 r.) specjalne „Stowarzyszenie Popierania ŁOS", które miało na celu staranie się o odpowiednie fundusze na utrzymanie orkiestry.

W niniejszym artykule nie miałem zamiaru naszkicować 50-letniej działalności Łódzkiej Filharmonii. Dokładniejszy i cały obraz pochwały godnej pracy artystycznej tej instytucji, zostanie chyba obszerniej przedstawiony na początku sezonu koncertowego 1965-66 w specjalnie rozszerzonym programie jubileuszowego koncertu, względnie w jednodniówce z okazji uroczystości 50-lecia istnienia łódzkiej Filharmonii i 20-lecia jej pracy w PRL. Chciałem jedynie przypomnieć społeczeństwu łódzkiemu o długoletniej i wytężonej działalności artystycznej naszej Filharmonii i wskazać na różnicę warunków pracy, jakie były na początku jej chwiejnego istnienia, a jakie są dziś, gdy nowa Polska zapewniła tej poważnej instytucji muzycznej byt i zagwarantowała jej pełny rozwój artystyczny.

Lucjan Mianowski. Człowiek z papierosem

Tu nie ma żartów

Może przed tygodniem, a może przed dwoma tygodniami, kiedy jeszcze potężne zwały śniegu leżały na ulicach i, zwłaszcza, za miastem w polu, wybrałem się do pewnego internatu widzewskiego na umówione przedtem spotkanie. Już sama podróż ze śródmieścia na peryferie domaga się literackiego zapisu. Jechałem tramwajem, który się spóźnił, przystawał nie tam gdzie trzeba a wreszcie wyrzucił nas w połowie drogi i musieliśmy czekać na następny, bo ten akurat jechał do zajezdni. Nikt nie wie, dlaczego o tej porze. Przestępując z nogi na nogę i zacierając uszy przypomniałem sobie (a wraz ze mną inni), jak we wrześniu lub październiku roku ubiegłego gazety pięknie pisały o tym, że do „bitwy zimowej wszystko jest przygotowane i żadna burza nas nie zaskoczy". A oto spadł śnieg i zaskoczył. Nawet bez burzy. Mój Boże! Rokrocznie to samo: latem przygotowani na medal, a przy pierwszych podmuchach zimy — bez medalu. Darujmy sobie jednak te niewczesne żale. Wiosna niedaleko. Aby do wiosny. Więc pojechałem do internatu na spotkanie. Temat: 20 lat rozwoju kulturalnego Łodzi. Przygotowałem się, a jakże żeby było i pozytywnie i krytycznie, dużo faktów, żeby i o tym, co zrobiono, i o tym, co się zrobi. Ponieważ żadne zebranie w tym kraju nie zaczyna i nie kończy się punktualnie — i tym razem nie mogło być inaczej. Ale zadowolony, że w internacie ciepło, siedziałem grzecznie w stołówce, gdzie dziewczęta kończyły właśnie kolację. Opiekunka przyniosła mi gorącej herbaty, piłem z rozkoszą i byłem jej wdzięczny za to.

— Czy mieliście tu już jakieś imprezy? — spytałem w pewnej chwili.

— Naturalnie — odpowiedziała opiekunka. Niedawno był taki jeden co mówił o panu Mickiewiczu.

Hm. Nieźle, jak na początek. (Jeśli, Czytelniku, sądzisz, że zmyślam, to się grubo mylisz). Przed rozpoczęciem gawędy przeprowadziłem jeszcze maleńki wywiadzik, gdzie pracują mieszkanki internatu. Okazuje się, że chodzą do szkół średnich: uczą się w liceach ogólnokształcących, technikach ekonomicznych, poligraficznych itp. Wiadomość ta bardzo mnie ucieszyła: będę miał przed sobą młodzież oczytaną i nie trzeba mi zaczynać od pieca. Kiedy dziewczęta zgromadziły się w małej świetlicy i opiekunka stała wśród nich (zresztą zaraz potem wyszła) — coś mnie tknęło. Na wszelki wypadek postawię jeszcze parę pytań. A zatem: czy wiecie, kto to jest Jerzy Putrament? Nikt o takim nie słyszał. A Janusz Meissner? A Hilary Bączek? Nie, nigdy nie słyszały. Mogę w takim razie wystąpić jako nie istniejący Hilary Bączek. To przecież i tak wszystko jedno. Nie będzie mowy o rozwoju kulturalnym Łodzi w 20-leciu. Przynajmniej na razie. To dla nich chińszczyzna. Najchętniej uciekłbym stąd, zapadł się pod ziemię, podrałował piechota po śniegu, na tramwaj nie czekając.

Ale uciec niepodobna. Trzeba tu zostać i coś powiedzieć. Decyduję się. Opowiadam anegdotę teatralną: prościutką, naiwną. Nikt się nie śmieje, nie reaguje. Aha, rozumiem, trzeba anegdotę objaśnić, rozłożyć na czynniki pierwsze. Nie daję za wygraną. Brnę dalej. Opowiadam anegdotę szkolną. To coś, co ma związek z ich obecną sytuacją, mogę ich ruszy. Siedzą jak zamurowane. Ani be, ani me. Oj, niedobrze, a nawet całkiem źle. Anegdota była o pewnym uczniu i Jerzym Waszyngtonie. Nie śmieją się, bo nie wiedzą, kto to był Waszyngton, bo nigdy o nim nie słyszały. Co tu robić? Dostrzegam w kącie telewizor. Chwytam się go, jak tonący brzytwy. Widziałyście ostatnie przedstawienie „Fantazego?" Ktoś tam oglądał, ale nie bardzo pamięta. To może pamiętacie nazwisko autora tej sztuki? Nie. Któż by swoją pamięć obarczał takimi tam rzeczami, a wiadomości zdobyte w szkole ulatują, widać, już nazajutrz z głowy.

Przedwczesna była moja radość: muszę wszystko zaczynać od pieca. Od rzeczy najprostszych, najbardziej elementarnych. Już mi nie jest zimno. Wręcz przeciwnie: gorąco. Za gorąco. Czuję, jak pot, łaskocząc, spływa mi po plecach. Obcieram chusteczką twarz. Chętnie zdjąłbym marynarkę, ale nie wypada. Przy okazji parę słów o bontonie. Jak zachować się a) w domu, b) na ulicy, c) w lokalu, d) na imieninach, e)' z chłopcem itd., itp. Ta i owa podnosi głowę, słucha. Wnoszę z tego, że nie o literaturze, nie o teatrze i plastyce mówić tu trzeba, lecz o życiu, o tym, co konkretne, uchwytne, codzienne. Przez chwilę jesteśmy na etapie „Ala ma kota". Bez mała na tym etapie. Ale co dalej?

Pytam, co ich interesuje. Kino. Dobrze. I co jeszcze? Taniec. Znakomicie. A jeszcze? Słuchaczki kręcą się niezdecydowane. A książki czytacie? Brak wyraźnych odpowiedzi. Przypominam sobie niedawną rozmowę z Zygmuntem Fijasem, w której sypnął kilkoma tytułami nie napisanych powieści kryminalnych. Wykorzystuję tę rozmowę. A powieści kryminalne lubicie? Ot, na przykład: „Zabili go i uciekł", „Kościotrup w ramkach", albo „Kwaśne mleko na łańcuchu". Gdzieś z kąta padają słowa: „Nie lubię kwaśnego mleka". Dobre i to. Nareszcie coś mówią. Byle tak dalej. A ja lubię kwaśne mleko. Bardzo. Napisałem nawet wiersz pt. „Oda do zsiadłego mleka". Przeczytać? Nie widzę wyraźnej aprobaty, ale czytam, by zyskać na czasie. W końcu rozruszały się trochę, ale com się namęczył, tom się namęczył. Nie sposób opowiedzieć, ani opisać. Do domu wracałem późno wieczorem. Tramwaj jechał byle jak, lecz o dziwo, nie zwracałem na to żadnej uwagi. Myślałem: my tu o alienacji, frustracji, cybernetyce, automatyce, antypowieści i faszyzmie a oni chcą po prostu do kina. Martwimy się, że ludzie czytają Kraszewskiego i Orzeszkową. Ależ gdyby czytali! Nie czytają ani Orzeszkowej, ani Kraszewskiego, ani żadnego z nas, który jest, pisze i żyje. Więc, nie ma żartów. Trzeba zaczynać od pieca.

Jan Koprowski

PÓŁKA z książkami

„RUDY MOJŻESZ"

„Rudy Mojżesz" znanego poznańskiego pisarza Bogusława Koguta jest książką pasjonującą. Czyta się ją jednym tchem i odkłada z żalem. Trzy części: „Galernicy", „Bojownicy" i „Spotkanie w Rottenburgu" przenikają się nie tylko kompozycyjnie i fabularnie, ale i dopełniają w strukturze myślowej, co daje książce walor wielopłaszczyznowości.

Dramatyczne spięcia i bez mała hemingwayowskie sceny i dialogi są solidnie osadzone w języku nieco chropawym, ale celnym i oszczędnym. Postacie są oryginalne, lecz sprawdzalne psychologicznie i socjologicznie.

Pierwsza część: „Galernicy", bodajże najbardziej refleksyjna w detalach myślowych, powoli rozwija i zapowiada narastający dramat człowieka pozbawionego wolności. Godność ludzką można ratować świadomą postawą, walką — czynem. Autor wie również, że zapieczone urazy, przesady i obsesje mogą wszystko zniszczyć, nawet własną wolę walki ze zezwierzęceniem.

Druga część jest pochwałą czynu i pogłębiającej się w człowieku samowiedzy. (Lecz tamta miłość i tamte przesady będą nadal jątrzyć i nie pokoić).

W „Spotkaniu w Rottenburgu" wszystko powróci, jakby się koło przeznaczeń musiało zamknąć (?), jakby nie można było od niczego uciec.

Powieść Bogusława Koguta nie jest pesymistyczna, mimo, że porusza tragiczne sprawy i trudny okres naszej historii, mimo, że tragiczny jest jej epilog.

Humanizm tej książki, niełatwa wiara w człowieka, napawają optymizmem.

R. Ł.

Bogusław Kogut: „Rudy Mojżesz". Wyd. Literackie, 1964, s. 193.

„JENNY"

Caldwell jest na pewno jednym z najpopularniejszych w Polsce powieściopisarzy amerykańskich. Nie oznacza to wcale, że polski czytelnik zna dobrze pisarstwo Caldwella. Wydano u nas bowiem kilka ledwie jego pozycji, a przecież to prawdziwy tytan pracy: napisał dziesiątki powieści, setki opowiadań. Znamy więc tylko okruch jego dorobku.

Czy to źle — czy dobrze?

Źle — oczywiście. Ale niepoprawni optymiści twierdzą, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W tym wypadku nikła nasza znajomość pisarstwa Caldwella sprawia, że polski czytelnik nie zdążył się jeszcze do niego zrazić. Że jeszcze go nie znużyły podobne a często identyczne sytuacje, stale powtarzające się rozwiązania fabularne, jakby powielone opisy scen i sylwetek bohaterów.

Po „Poletku Pana Boga" i „Tragicznej ziemi" wydał „Czytelnik" obecnie „Jenny" — powieść w ojczyźnie pisarza, stosunkowo mało popularną, za to z bardzo ostro zarysowanym konfliktem: wśród mieszkańców miasteczka zagubionego na głuchym Południu, w gmatwaninie ich codziennych spraw i sprawek, rozgrywa się wstrząsający i ukazany w wyrazistym skrócie dramat kolorowej dziewczyny: brutalny gwałt, przesąd, i bezprawie — jak zwykle u Caldwella — sąsiadują z groteską i przerysowaniem zgoła karykaturalnym. Sarkastyczny śmiech autora zaprawia lekturę dodatkową gorycz, i chyba tej goryczy właśnie przypisać trzeba, że zapominamy iż to wszystko było już opowiedziane nieraz, iż wszystko to przeczytać mogliśmy i na kartach innych książek.

A zresztą — któż to wie? Może właśnie taka pisarska wierność tematowi (i samemu sobie?) zasługuje w naszych niewiernych czasach na szczególny szacunek.

Erskine Caldwell „JENNY". Czytelnik, 250 stron, cena zł 17.

„DRZEWO RODZI OWOC"

Znana wszystkim czytelnikom seria „Biblioteki Powszechnej" przyniosła nam nową pozycję. Jest to nagrodzona w roku 1962 na Konkursie Czterech Wydawnictw powieść „Drzewo rodzi owoc" Tadeusza Hołuja.

Specyficzna to książka! Znajdujemy w niej coś z atmosfery „Pierwszego dnia wolności" L. Kruczkowskiego. Jeszcze jedna, tak typowa dla naszej literatury, próba dokonania rozrachunku z przeszłością. Z tym co przyniosła nam wojna i ludzie. Wielokrotnie próbowano już dokonać tego tak bardzo kontrastowego zestawienia przyniesionych Stamtąd wyobrażeń i nadziei z istniejącą rzeczywistością, ale chyba nikt nie dokonał go na podłożu tak ciekawym jak T. Hołuj. Zestawienie poglądów i przekonań z wyrosłą w międzyczasie legendą nazwiska rodzinnego, z pewnymi wobec tej legendy obowiązkami, stawia bohatera wobec konieczności dokonania wyboru. Pozostaje tylko przystosować się, a to nie jest bynajmniej proste. Szczególnie dla człowieka, który potrafi spojrzeć w siebie i swoje postępowanie ocenić. Nie liczmy jednak na obiektywizm. Cała przemiana osobowości, która rysuje nam autor jest do pewnego stopnia procesem podświadomym, pobudzanym bodźcami z zewnątrz.

Wiele splotło się w tej książce osobowości, wiele postaw społecznych i „systemów życia". Możność dokonania wyboru jest dla ludzkości największym przywilejem, ale bywa również więzieniem. Nie zawsze jednak możliwość ta jest nam dana. Często życie wybiera za nas, często jest to dzieło przypadku, rzecz równie naturalna jak śmierć i narodziny. Całą tą prawdę zamknął autor w piękne motto, będące zarazem tytułem: drzewo rodzi owoc, owoc rodzi drzewo.

L. ST. R.

Tadeusz Hołuj — Drzewo rodzi owoc; — Wyd. Lit. Kraków 1964. Biblioteka Powszechna — str. 200.

Picasso *Minotaur (1933)*

FILM

LECH PIJANOWSKI

Śmierć i miłość

Film reżysera Jörna Donnera „Kochać" uważam za utwór pozytywnie bezwstydny.

Dlaczego bezwstydny? Bynajmniej nie dla niejakiej famy, poprzedzającej sam film i głoszącej, że z wielką swobodą porusza on i pokazuje problemy nie tylko miłości, lecz także erotyki — choć bowiem fama ta jest prawdziwa, zgodna z filmem, w sposobie poruszania tego tematu nie znajduję niczego (od czasów „Kochanka Lady Chatterley" Lawrence'a) bezwstydnego. Jest to tematyka trudniejsza i bardziej złożona, niż się wydaje i miłośnikom (są tacy) prymitywnego erotyzmu z zapachem pornografii, jak i pruderyjnym enotliwcom, zwalczającym fanatycznie wszystko, co związane z płcią. Jest to tematyka ważna, obecna w życiu każdego, obecna w każdej sztuce: film nie jest wyjątkiem.

W „Kochać" temat erotyczny nie jest bezwstydny, nie został także potraktowany bezwstydnie, lecz niejako na odwrót: z kliniczną dokładnością psychologicznych reakcji (Harriet Andersson!), z ukazaniem jawnych dla postronnych obserwatorów seksualnych śmieszności (Zbigniew Cybulski!).

Film Donnera jest bezwstydny w zupełnie innej strefie tematycznej, której już nie poprzedza żadna fama — w równym bowiem stopniu, jak uprawiania miłości, dotyczy on jeszcze jednego problemu, obecnego w życiu każdego z nas: śmierci.

Mąż bohaterki filmu, który zginął w katastrofie samochodowej, którego nie widzimy na ekranie (film zaczyna się na cmentarzu po jego pogrzebie), o którym nie wiemy nawet, jak wyglądał (mowa jest wprawdzie w dialogu o jego fotografii, ale i tej fotografii nie widzimy), jest jednak obecny w filmie co chwilę, gdyż żyje w pamięci bohaterki i osób z jej otoczenia, istnieją jego garnitury i przyzwyczajenie do jego przyzwyczajeń. Jest to obecność jałowa, nie obchodząca już „drogiego nieobecnego", dręcząca za to innych — i cała opowieść filmowa mówi właściwie o tym, jak można przezwyciężyć pamięć o śmierci.

Można — powiada Donner — dzięki szczęśliwej, cielesnej, niepohamowanej miłości. Być może — ale gdy kochanek młodej wdowy, w krótkiej przerwie między erotycznymi figlami, ubiera się w marynarkę jej zmarłego męża, powodując jej stwierdzenie: „Dobrze ci w tym..." — tak grubą linią rysowana ilustracja tezy razi mnie. To było niesmaczne. Niewiele było momentów podobnych, ale były.

Można powiedzieć, że to rzecz gustu. Można powiedzieć także, iż niczyja śmierć nie jest „smaczna", a żyć dalej trzeba... Trzeba zapomnieć, trzeba żyć dalej — to mówią bohaterce wszyscy, lecz nikt nie mówi jak to czynić. Fryderyk natomiast niczego jej nie radzi, lecz idzie z nią do łóżka i zostaje w nim na długo, okazując się tytanem agresywnej męskości.

Przepraszam, jeśli kogokolwiek razę prostotą sformułowań — ale film operuje takim właśnie językiem: otwartym, jasnym i — jak się wydaje — celnym.

Byłby to utwór rzeczywiście bezwstydny (a więc nie tylko nieartystyczny, lecz i szkodliwy), gdyby reżyser filmu dawał receptę, przedstawiał ideał, głosił: róbcie tak. Tego nie ma; Donner nikogo do niczego nie namawia i namawiać nie chce, lecz przedstawia sytuację ostrą i niezwykłą, która wydała mu się ciekawa i taką jest istotnie. Przede wszystkim wskutek i dzięki grze Harriet Andersson, która z roli wdowy wydobyła więcej prawdy i niuansów psychologicznych, niż można by sformułować na piśmie, nie ośmieszając ani postaci, ani piszącego (zresztą spróbuję: żałobna wdowa, nienasycona kochanka, zakochana kobieta, niedobra matka, (a może dobra matka?), świadomy swoich celów, wolny człowiek... wystarczy?)

Wszystko, co dzieje się w filmie, ze strip-teasem bohaterki w jej śnie, ze stypą pogrzebową i z całą postacią kochanka Fryderyka włącznie dzieje się tylko po to, byśmy mogli poznać i zrozumieć bohaterkę. Warta jest tego nieszablonowego poznawania właśnie dzięki temu, że gra ją Harriet Andersson.

Jörn Donner uważany jest — i sam siebie zresztą uważa — za programowego wroga i głównego przeciwnika innego szwedzkiego reżysera, Ingmara Bergmana, którego twórczość jest u nas znana. Dlatego symptomatyczny wydaje się fakt, że mimo wszystkich różnic w patrzeniu na świat i życie, Donner robi właściwie to samo, co Bergman w wielu swoich filmach: patrzy na świat przez pryzmat psychologii kobiety, przez odczucia i myśli kobiety, bohaterki „Kochać".

I przy całej fascynacji złożoną i trudną problematyką erotyczną, Donnera stać na więcej, niż tylko na męską wścibskość w damskie sprawy — widzi i pokazuje w bohaterce swego filmu nie „kobietę jako taką", lecz pełnego człowieka, czyniąc tematem filmowej opowieści miłość i śmierć, a właściwie (bo w tym wypadku kolejność jest ważna) śmierć i miłość.

Miłość traktuje — jak mi się wydało — dość chłodno, mimo wielości realiów; śmierć traktuje inaczej: przenośnie, z dystansu, ale żarliwie. Boryka się, poprzez swą bohaterkę, z dylematem, który dość rzadko pojawia się na ekranie, o którym nikt nie lubi myśleć (stąd poczucie bezwstydu takiego tematu): jak żyć, gdy umiera bliski człowiek?

Fabuła „Kochać" jest tylko jedną z możliwych odpowiedzi na to pytanie. Stopień jej szczerości zmusza do zastanowienia już nie tylko nad szczególnymi losami bohaterów „Kochać", lecz i nad tym, co w tych losach jest ogólne. A takie filmy — choćby pojedyńcze w nich sceny raziły mnie brakiem gustu, przesadą, czymkolwiek — zawsze chętnie oglądam.

„Kochać" może się podobać z zastrzeżeniami i nawet bez zastrzeżeń: rozumiem zwolenników filmu, którzy swoją ocenę mogą dobrze umotywować. Nie wydaje mi się jednocześnie wcale dziwne, że film znalazł już i z pewnością znajdzie jeszcze wielu przeciwników, występujących przeciwko jego formie i treści — i ci dysponują rzeczowymi, ważnymi argumentami. Bezsporne natomiast jest, że i dla jednych, i dla drugich dla entuzjastów i dla zawiedzionych film ten jest czymś ważnym; niepodobna oglądać go obojętnie i skwitować obojętnie. Jest to utwór, jak to się mówi, „gorący", mimo pozornego chłodu i prostoty realizacji — i także dlatego ważny.

KRONIKA Antytelewizyjna

Głos wołających (telewidzów) na puszczy: raz jeszcze protestujemy przeciw wywiadom telewizyjnym z działaczami o złej dykcji, żmudnie dukającym swe kulawe, nieprzekonywające wypowiedzi. Protestujemy przeciw „sylabizowaniu" z kartki przed kamerą. Protestujemy przeciw rozmowom z osobistościami o tzw. „telewizyjnych przeciwwskazaniach". Po co męczyć siebie? Po co męczyć prowadzących audycję, po co męczyć telewidzów? Po co nudzić, irytować, oburzać? Po co z propagandy robić antypropagandę?

* * *

Gdy profesor Włodzimierz Zonn mówi o astronomii, o problemach budowy wszechświata, o mgławicach, od których dzielą nas miliony lat świetlnych — nasze drobne, ludzkie smutki i smuteczki ulegają zadziwiającej dewaluacji. I cóż dziwnego, przecież naprawdę trudno martwić się o kilkusetzłotową dziurę w budżecie domowym, myśląc jednocześnie o nieskończoności i wieczności materii.

Otóż to: kiedy rozmawia z nami prof. Włodzimierz Zonn — jesteśmy zmuszeni do myślenia. Myśl nasza udaje się niejako w podróż kosmiczną. Doznajemy czegoś w rodzaju psychicznego stanu nieważkości. Wyzwalamy się z trosk. Odpoczywamy.

Nie przenośmy żywcem do TV doświadczeń radiowych!

Dla przykładu! Nasze radio nadało w ciągu ubiegłego roku piosenki Bogdana Łazuki chyba z kilkadziesiąt (jeśli nie kilkaset) razy. I wysłuchaliśmy. Kwita. Podobna praktyka telewizyjna byłaby dla nas, widzów, wręcz mordercza.

Ostatnio TV jako przerywniki muzyczne nadaje popularne polskie piosenki inscenizowane na krótkie filmiki. Ujrzawszy po raz pierwszy w tej wersji zaślubiny Łazuki — pomyślałem, że to wcale niezły pomysł. Ale ostatnio ujrzałem czarującego Bogdana na ślubnym kobiercu już chyba po raz piąty. Zgroza! Rozpacz! Nuda! Nie chcę więcej patrzeć na lekkomyślny krok sympatycznego piosenkarza: więc nie przenośmy... itp. jak wyżej.

* * *

Czy zauważyliście państwo, że sądząc po Wieczornym Relaksie niemal wszyscy Polacy mają zwyczaj pracować aż do godziny 23.00? Dopiero późna pora nocna odrywa ich od żmudnych zajęć — po to by przed snem itd., itd. (dalej jak w dzisiejszym wieczornym relaksie).

Jakiż to z nas mrówczo pracowity naród!

* * *

Prowadzący zazwyczaj Wielokropek pan Filler miał okazję przekonać się, że wielka widowiskowa impreza — mamy na myśli Bal Telewizyjny — to całkiem coś innego niż wspomniana, bądź co bądź kameralna audycja. Pan Filler — mówiąc oględnie — nietęgo wywiązywał się z funkcji wodzireja: popełniał gafy, był niezręczny, a nawet niegrzeczny, żarzynał dowcipy. Gdy tylko brał w swe ręce balową inicjatywę — nastrój pryskał, robiło się drętwo.

A przecież telewizja dysponuje wypróbowanym teamem dla takich imprez — Fedorowicz i Kobiela, dzięki swej vis comica i darowi improwizacji każdą „masówkę" potrafią naładować dowcipem i pomysłami.

Więc może...

* * *

Najlepsze aktualnie spikerki to pani Edyta — i chyba pani Grażyna. Pani Grażyna jak wiadomo — debiutowała w łódzkiej TV i tu — ponoć — uznania nie znalazła. A dziś? Dziś pani Grażyna jest bezsprzecznie najpiękniejszą naszą spikerką.

Cóż robić, nikt nie jest prorokiem w swej ojczyźnie!

* * *

Jaka jest nasza współczesna młodzież? Zbuntowana? Pełna nienawiści do tradycji? Bezideowa? Zmaterializowana do szpiku kości? Opętana sexem? Przeżarta frustracją?

Do telewizyjnej dyskusji na ten temat włączył się ostatnio Kraków — nasza staruszka, choć odmłodzona kuracją nowohucką exstolica. Jaka jest opinia Krakowa o współczesnej młodzieży? Proszę odpowiedzi na to pytanie szukać w widowisku pt. „Dzwonić cztery razy".

Poczciwy Kraków!

* * *

Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Już nas nie denerwuje ani źle funkcjonujący wóz, ani awaria łącz, ani do cna wypalone kamery. Jesteśmy już przyzwyczajeni do usterek technicznych w TV. I mówiąc szczerze — już nas po prostu dziwi każda jako tako sprawnie przeprowadzona transmisja. Na takim sprzęcie?

Nie mam więc o to pretensji do naszej telewizji. Wiemy: jest uboga, niedoinwestowana, wszystko się „sypie" ze starości. Bogu dzięki, że i tak owe rupieciarnia telewizyjna nadaje jeszcze program za który my, telewidzowie, płacimy miesiąc w miesiąc grube dziesiątki milionów złotych.

* * *

Seria TV „Gwiazdy srebrnego ekranu" sięga już po filmy z lat trzydziestych. Tym, którzy je kiedyś widzieli, wydają się one po latach zaskakująco — aż infantylnie — naiwne.

Lata trzydzieste! Czyżby świat był wówczas tak naiwny jak te filmy? Kto wie, kto wie... Przypomnijmy sobie, czegośmy musieli się nauczyć w następnym trzydziestoleciu... Więc może to naprawdę były szczenięce, naiwne lata naszego wieku?

„Cytujemy Shakespeare'a"

Nasz niełatwy, jak się okazało, konkurs szekspirowski wzbudził wielkie zainteresowanie. Aby rozwiać ostatnie wątpliwości podajemy jego właściwe rozwiązanie:

„Świat jest teatrem; aktorami ludzie".
JAKUB: „Jak wam się podoba"
„Reszta jest milczeniem".
HAMLET: „Hamlet"
„O konia! Moje królestwo za konia".
KRÓL RYSZARD III: „Ryszard III"
„O, w państwie duńskim coś psuć się zaczyna".
MARCELLUS: „Hamlet"
„Chociaż to szaleństwo, jest w nim jednak metoda".
POLONIUSZ: „Hamlet"
„Ta czaszka, panie, ta sama, była czaszką Jorika, królewskiego trefnisia".
GRABARZ: „Hamlet"
„Chcesz sprząc swą córkę z berberyjskiem koniem.
Mieć rżące wnuki, bachmatów za krewnych
I z dzianetami być w powinowactwie?"
JAGO: „Otello"
„Jak przed zabiciem całowałem ciebie;
Tak niech umieram, sam zabiwszy siebie".
OTELLO: „Otello"
„Kiss me, Kate".
PETRYCY: „Poskromienie złośnicy"
„Żywot nasz krótki w sen jest owinięty".
PROSPERO: „Burza"
„Dobranoc, luby! Jeszcze raz dobranoc!
Smutek rozstania tak bardzo jest miły,
że by dobranoc wciąż usta mówiły".
JULIA: „Romeo i Julia"

A OTO ŁÓDZCY SZEKSPIROLODZY, KTÓRZY WYLOSOWALI NAGRODY W NASZYM KONKURSIE:

I NAGRODA — radiowy aparat tranzystorowy „Koliber" — **p. Grażyna Węglewska**, zam. w Łodzi, przy ul. Tybury 7 m. 8.

II NAGRODA — komplet 8 płyt do nauki języka angielskiego, składający się z kompletu dla początkujących (4 płyty) i kompletu dla zaawansowanych (również 4 płyty) — **p. Feliks Nagórski**, zam. w Łodzi, przy ul. Rzgowskiej 33 m. 28.

III NAGRODA — komplet dzieł Szekspira — **p. Tadeusz Znyk**, zam. w Łodzi, przy ul. Tkackiej 22 b.

IV NAGRODA — komplet dzieł Szekspira — **p. Ewa Motyl**, zam. w Łodzi, przy ul. Kopcińskiego 35 c, m. 21.

V NAGRODA — komplet płyt do nauki języka angielskiego, składający się z 4 płyt kursu dla początkujących — **p. Sławomir Wojciechowski**, zam. w Łodzi, przy ul. Obrońców Stalingradu 43, m. 3.

VI NAGRODA — komplet płyt do nauki języka angielskiego składający się z 4 płyt kursu dla zaawansowanych — **p. Henryk Hoffman**, zam. w Łodzi przy ul. Tkackiej 7.

VII NAGRODA — ozdobne wydanie „Nocy i Dni" Marii Dąbrowskiej — **p. Krystyna Popielecka**, zam. w Łodzi, przy ul. Narutowicza 113 a m. 2.

VIII NAGRODA — książka Tadeusza Dobrowolskiego pt. „Sztuka Krakowa" — **p. Tadeusz Gibas**, zam. w Łodzi, przy ul. Tkackiej 7.

IX NAGRODA — książka Oskara Lewisa pt. „Sanchez i jego dzieci" — **p. Maria Renard**, zam. w Łodzi przy Al. Kościuszki 24, m. 6.

O terminie wręczenia nagród powiadomimy uczestników konkursu listownie.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM

POLONIA — „Królowa Krystyna"
35 seansów — 18.517 widzów
WŁÓKNIARZ — „Rękopis znaleziony w Saragossie" —
21 seansów — 7.927 „

TEATR

NOWY — „Pastorałka"
4 spektakle 1.600— 60%
— „Pan Geldhab"
2 spektakle 1.400 — 100%
NOWY (Mała Sala) — „Drewniana miska"
2 spektakle 400 — 100%
„Indyk"
2 spektakle 400 — 100%
JARACZA „Koncert"
4 spektakle 2.400 — 87%
POWSZECHNY „Ktoś nowy"
2 spektakle 1.030 — 78%
„Piosenka prawdę ci powie"
3 spektakle 1.929 — 96%
„Robin Hood"
1 spektakl 645 — 97%
„Niewidzialny książę"
1 spektakl 668 — 100%
7.15 — „Przygody dzielnego wojaka Szwejka"
5 spektakli 1.635 — 74%
„Fiki Miki w zaczarowanej zatoce"
1 spektakl 369 — 84%
OPERA — „Legenda Bałtyku"
2 spektakle 1.422 — 100%
„Rycerskość wieśniacza"
1 spektakl 659 — 100%
OPERETKA — „Ułani księcia Józefa"
7 spektakli 3.893 — 50%
FILHARMONIA — koncert z solistką H. Czerny-Stefańską
2 koncerty 1.746 — 100%

KRYSTYNA WOJTASIK

WSPÓŁCZESNOŚĆ W TEATRZE ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Scena z „Nocnej opowieści" Krzysztofa Choińskiego

„NOCNA OPOWIEŚĆ" Krzysztofa Choińskiego jest sztuką irytującą swymi słabościami, a jednocześnie prowokującą do przemyśleń i repliki. Jest brutalna, celowo i z premedytacją naszpikowana przez autora scenami drastycznymi, pełna młodzieńczej pasji. Ale młodzieży nie wypuszczałbym na widownię, bo jest to sztuka nie dla niej przeznaczona — atakuje pokolenie dojrzałe — a przy tym niebezpieczna. Autor zapomniał bowiem o niezbędnej tu równowadze sił i czyniąc ofiary godnymi pogardy niedostatecznie skompromitował napastników. Spośród ofiar tchórzem jest i nie przestaje być nawet Marek, autorska sympatia, student medycyny pełen szlachetnych, lecz, niestety, połowicznych porywów przeciwko przemocy, gwałtowi i zbrodni. Jego śmierć z ręki chuligana, czy raczej bandyty, gdy się dokonuje, niczego już nie zmieni i nikomu nie jest potrzebna, tylko jemu samemu.

Gdyby Marek zginął, usiłując sprowadzić pomoc dla rannego motocyklisty lub w obronie godności dziewczyny, stałby się reprezentantem idei walki o wartości społeczne i ludzkie. I wtedy jego racja byłaby najmocniejsza a sztuka zyskałaby ową niezbędną równowagę sił. Ale Marek prowokuje swoją śmierć jedynie dla zadośćuczynienia własnemu honorowi czy własnemu ja. A przedtem czeka, jak reszta jego towarzyszy niedoli. Czeka pomimo, że kona człowiek ranny w wypadku drogowym spowodowanym przez chuliganów, którzy obawiając się konsekwencji nie pozwalają sprowadzić mu pomocy. Bowiem chuligani zmuszają do tego czekania, sami czekając na uruchomienie samochodu, którym mają zbiec. W międzyczasie upadlają do granic ostatecznych starego nauczyciela, fotografa z numerem oświęcimskim na przedramieniu, i inspektora budowlanego bardzo szanującego służbową hierarchię. Bez trudu czynią z nich szmaty. Sterroryzowani pragną jedynie wynieść z awantury całą skórę, więc chuligani poniewierają ich ludzką godność nie napotykając żadnego oporu, a potem gwałcą dziewczynę rannego, losując kolejność zapałkami. W obronie dziewczyny staje jedynie fotograf i zostaje poturbowany (dlaczego wówczas i Marek nie poderwał się do walki? Byłoby ich dwóch). Post factum, kierowca inspektora mówi, że woli już iść reperować ten samochód, a inspektor z pedagogiem gawędzą o pogodzie. Pedagog zrezygnował bowiem z prób przekonywania przywódcy chuliganów — Zezowatego, że człowiek nigdy nie jest do gruntu zły, i że zawsze tkwi w nim jeszcze ziarno dobra. Ale odwoływanie się do tego ziarna nie przekonuje Zezowatego, gdyż są to słowa bez pokrycia, przekonałyby go może czyny, ale czynów brak. Jedynie działanie, zgodne z głoszonymi zasadami etycznymi, potrafiłoby przestępcom zaimponować i podważyć ich przekonanie o przewadze siły fizycznej nad prawem, moralnością i obyczajem. Ale nie ma takiego działania, więc pozostaje tylko pogarda i przekonanie, że siła jako filozofia życiowa została wybrana słusznie i nie ma nic poza nią. Kara niewiele tu zmieni, gdyż kara nie jest wartością moralną. Odwróci jedynie sytuację, przerzuci strach na drugą stronę.

W zakończeniu sztuki, rozprawiwszy się już z osławioną znieczulicą społeczną na przejawy chuligaństwa, czyli wszystko, co ten termin w sobie zawiera, stawia autor tezę, że filozofia prawa pięści, pogarda człowieka, a w szczególności kobiety, czyli pogarda słabszego, sadyzm i okrucieństwo, właściwe młodzieży przestępczej, zawierają w sobie elementy faszyzmu. I chyba ma rację. Epoka pieców pozostawiła wyraźny ślad.

Zespół aktorski Teatru Ziemi Łódzkiej umiejętnie przekazał treść sztuki Choińskiego. Autentyzm i prostotę środków osiągnęli niemal wszyscy wykonawcy, a przede wszystkim Marian Harasimowicz (Fotograf), Eugeniusz Rawski (Nauczyciel), Jerzy Czupryniak (Inspektor), Sławomir Matczak (Pijak) i Henryk Dudziński (Cwaniak). Do reżysera miałabym trochę żalu, że „grupy chuligańskiej" nie zmusił do pełnego wydobycia akcentów grozby i cynizmu i nie uczynił jej dostatecznie odrażającą (zbyt miękko zarysowana sylwetka Zezowatego — Zbigniew Szymczak). Bogdan Juszczyk w niewdzięcznej roli Marka potrafił zdobyć sympatię widzów, których po zakończeniu spektaklu zaproszono do dyskusji nad sztuką.

Tym razem (bo TZŁ urządzał już takie dyskusje w objeździe) nie padły słowa oburzenia pod adresem brutalności utworu, zrozumiano, że stanowi ona środek do celu. Padło natomiast najwięcej głosów oburzenia pod adresem nierycerskiej postawy mężczyzn, którzy dopuszczają do zbiorowego gwałtu na dziewczynie. — To niemożliwe — orzekli widzowie (mężczyźni). — To nieprawdopodobne. Jak wynikało z wypowiedzi kwestia prawdopodobieństwa w utworze realistycznym jest dla widza bardzo ważna, zależy od niej wiara w rzeczywistość sceniczną, a tym samym poddanie się i pełne przeżycie iluzji teatru. Widz domaga się logiki zdarzeń, która warunkuje owo prawdopodobieństwo. Więc pyta: Dlaczego pobity przez chuliganów Fotograf (— dokończymy go potem — mówią chuligani) pod koniec aktu II, jest absolutnie zdrów i cały na początku aktu III, chociaż wciąż trwa ta sama noc? Dlaczego podczas drzemki przestępców nie próbowano ich obezwładnić? Była przecież świetna okazja. Dlaczego do aresztowania czterech bandytów wystarczy jeden strażnik z karabinem i żaden z nich nie stawia oporu ani nie próbuje ucieczki. Mają przecież na sumieniu dwa morderstwa i gwałt, więc orientują się co ich czeka? Dlaczego Zezowaty, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wybiera dla swej grupy większe ryzyko, zamiast mniejszego? I dlaczego tak blahy jest pretekst zadzierzgnięcia akcji tak nabrzmiałej tragicznymi konsekwencjami — obowiązujący chuliganów termin odstawienia samochodu?

Warstwa realiów „Nocnej opowieści" jest krucha i nietrudno w niej dostrzec niespoistości i pęknięcia. Tak, jak niedostatki warstwy myślowej, filozoficznej. Ale rekompensuje je w znacznej mierze odwaga w postawieniu problemu przez autora i powodująca nim najszczersza i pełna młodzieńczego całopalenia się pasja publicystyczna i społecznikowska. Dlatego oglądając sztukę Choińskiego nie sposób pozostać obojętnym. I to jest najważniejsze.

Teatr Ziemi Łódzkiej: „Nocna opowieść" Krzysztofa Choińskiego. Reżyseria — Czesław Staszewski, scenografia — Ewa Soboltowa.

Notatki na marginesie

Wystawa plakatu polskiego w Indii, zainaugurowana we wrześniu 1964 roku w New Delhi i zorganizowana w ramach współpracy Indyjsko-Polskiego Komitetu do Spraw UNESCO, wywołała szerokie echa w prasie indyjskiej, która poświęciła jej szereg recenzji i artykułów. Poniżej podajemy urywki recenzji zamieszczonych w ukazujących się w New Delhi gazetach:

„Polskie plakaty tworzą szkołę o odrębnym stylu. Plakat polski stał się niemal osobną szkołą malarską. Stanowi on żywotną syntezę tendencji romantycznych i intelektualnych". („Indian Express", 29 września 1964).

„Mieliśmy już okazję pięć lat temu podziwiać wystawę plakatów polskich, lecz obecny ich pokaz otwarty w Azad Bhavan jest wielkim wydarzeniem. Wystawa jest wspaniała, jestem pełen podziwu dla Polski, która stworzyła tak wybitną gałąź twórczości w tej dziedzinie sztuki. Wystawy tej nie powinni pominąć ani artyści, ani aktorzy filmowi i teatralni, ani pracownicy reklamy handlowej, ani szeroka publiczność". („Statesman").

„Plakat artystyczny w Polsce stał się głównym środkiem wyrazu plastycznego. W tej dziedzinie sztuki znajdujemy echa głównych ruchów artystycznych obecnego wieku: ekspresjonizmu, surrealizmu, kubizmu oraz realizmu. Plakat stał się poważnym wkładem Polski do sztuki światowej". („The Times of India").

Wystawa plakatu polskiego, odwiedzi po New Delhi szereg innych miast indyjskich.

* * *

W kwietniu 1964 r. zorganizowane było, pod patronatem amerykańsko-japońskiego komitetu współpracy naukowej, seminarium na temat tłumaczeń mechanicznych, na którym ustalono program wymiany informacji dotyczących prac w tej dziedzinie prowadzonych w obu krajach. Wśród poruszanych zagadnień wymienić należy następujące sprawy: klasyczna teoria lingwinistyczna, teoria transformacji i teoria stratyfikacji: lista badań prowadzonych w Stanach Zjednoczonych i w Japonii na temat tłumaczeń automatycznych: języki programowania ujęte zależnie od badanego problemu; teksty wejściowe i zagadnienia konwersji. Następne zebranie na ten temat odbyć się ma w roku 1965.

* * *

Geografowie francuscy i węgierscy współpracują obecnie przy przygotowaniach do nowego wydania atlasu międzynarodowego, który ukazać się ma w roku 1965, na podstawie umowy podpisanej pomiędzy wydawnictwem francuskim Larousse a instytutem wydawniczym „Kultura" w Budapeszcie. Atlas będzie zredagowany w trzech językach: francuskim, angielskim i hiszpańskim, a tytuły poszczególnych map będą miały również napisy po rosyjsku, niemiecku, chińsku (ideogramy i czcionki łacińskie).

* * *

Dramaturg Rolf Hochhuth — którego sztuka „Namiestnik" była wydarzeniem — i to nie tylko artystycznym, lecz i politycznym — ostatnich miesięcy, pisze nową sztukę: jej fabuła będzie pretekstem do rozprawienia się z twórcami koncepcji nalotów dywanowych na Niemcy w czasie II wojny światowej.

* * *

Na aukcjach w Nowym Jorku sprzedano za 1550 dolarów list Ernesta Hemingwaya zawierający m. in. następujący niezbyt entuzjastyczny sąd o pisarstwie Williama Faulknera.

„Pisze chyba gorzej ode mnie... Nieźle czyta się jego Azyl i Pylon... Udane są historie z Południa. Niektóre opowiadania murzyńskie uważam za bardzo dobre. Warta przeczytania jest nowela „Niedźwiedź".

* * *

Pablo Ruiz Picasso, (83 lata), przyjął propozycję Walta Disneya i rysuje projekty do filmu animowanego o walce byków. Doradcą W. Disneya przy realizacji tego filmu będzie sławny matador Luis Miquel Dominquin.

* * *

Za 35 dolarów kupił pewien włoski nauczyciel muzyki w lombardzie San Rafael stare i uszkodzone skrzypce. Eksperci ustalili, że są to skrzypce Nicolo Amati z r. 1645 i przedstawiają wartość co najmniej 25.000 dolarów.

* * *

W czerwcu, na festiwalu telewizyjnym w Pradze, zostanie zademonstrowany nowy system przekazywania obrazu trzywymiarowego. Jego wynalazcami są czescy inżynierowie-elektronicy z zakładów TESLA.

* * *

Prof. Luigi Chiarini, dyrektor weneckiego Biennale zapowiedział „radykalną demokratyzację" tej imprezy. Pierwsze zarządzenia: uproszczona procedura związana z dopuszczeniem do konkursu, rozszerzenie gremium obserwatorów, mniej protokołu dyplomatycznego i mniej obowiązkowych strojów balowych — szczególnie dla panów.

* * *

Cristobal Balanciega, jeden z paryskich dyktatorów mody, zabronił Włochom wstępu do swych zakładów w dniach pokazów tzw. „Wielkich Kolekcji". Powód tego kroku: modele Balanciegi były ukradkiem kopiowane i następnie sprzedawane do masowej produkcji w Ameryce.

* * *

Filmy Zofii Loren nie będą wyświetlane na ekranach państw arabskich. Powód bojkotu: film „Judyta", w którym główną rolę kreuje aktorka, był nakręcony w Izraelu i ukazuje Arabów jako słabeuszy i niegodziwców.

* * *

„Mlady Svet" — czeskie czasopismo odpowiadające naszemu „Dookoła Świata" — opublikowało serię wstrząsających zdjęć z obozu koncentracyjnego Theresienstadt. Zdjęcia te wykonał z narażeniem życia więzień obozu Ivan Fric, zatrudniony przez krótki czas jako pomocnik Niemca-fotooperatora hitlerowskiej kroniki filmowej.

* * *

Wielki skrzypek Dawid Ojstrach znów występuje po ataku sercowym, jaki w ubiegłym roku zmusił go do długiej przerwy w pracy.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Przy przenoszeniu tak zwanych „trudnych" arcydzieł polskiego dramatu na ekran telewizyjny powstaje problem wynikający z gorszych warunków przekazywania obrazu i głosu na mały ekran. Kłopoty z odbiorem nielatwego tekstu, jakie mają szerokie masy widzów, nie powinny być utrudniane przez zbyt szybko podawany dialog. Poniedziałkowy „Pierścień wielkiej damy" Norwida nie był pod tym względem bez grzechu. Nie kwestionuję, bynajmniej, świetnej dykcji znakomitych wykonawców, natomiast zbyt szybka narracja i tok prowadzonego dialogu dezorientowały nawet bardziej wyrobionych widzów, którzy gubili wątek i nie nadążali za pięknościami Norwidowego tekstu. Również słowo wstępne nie ułatwiało widzowi zrozumienia pięknej „białej" dramy Norwida. Pod tym względem Marczak—Oborski lub Treugutt — nie obniżając, bynajmniej, poziomu swych krótkich prelekcji — docierają skuteczniej do widzów prezentując im trudności odbioru ale zarazem i uroki polskich arcydzieł.

WTOREK

W Klubie Dziennikarza odbyło się spotkanie z reżyserami J. Starem (Wytwórnia Filmów Fabularnych) i J. Kubikiem („Semafor"). Po wypowiedziach obu reżyserów pokazano nam fragment pełnometrażowego filmu oświatowego reżysera J. Stara „Taki jest świat, Gabrielo". Zasługują na uznanie sceny w kropli wody oraz sceny w kosmosie, natomiast Warszawa w interpretacji naukowej wypadła chyba słabiej. Następnie został wyświetlony film reżysera J. Kubika „Gdzie jesteś, Luizo?" Było to fantastyczne spotkanie z Marsjanami, pomyślane interesująco i nie bez dreszczyku, jaki wywoływał mit latających talerzy i tym podobnych marsjańskich sensacji.

ŚRODA

W Państwowym Teatrze Nowym powódź łez (wśród pań na widowni Małej Sceny) na „Drewnianej Misce" Morrisa. Ten zręcznie zrobiony przez amerykańskiego pisarza melodramat mógłby być przykładem dydaktycznego oddziaływania sztuki. Dyrekcja Teatru otrzymuje od wzruszonych widzów telefoniczne podziękowania za wystawienie „Drewnianej miski". Pewna pani wyznała telefonicznie dyrektorowi M. że przez dwa lata nie odwiedzała starych rodziców, lecz po obejrzeniu sztuki o wygnanym z domu ojcu natychmiast wypełni swój obowiązek i będzie pamiętała o powinnościach córki względem tych, którzy dali jej życie.

CZWARTEK

Natomiast na fredrowskim „Panu Geldhabie" w dużej sali Teatru Nowego huragany śmiechu. Dziewczęta na szkolnych przedstawieniach, bardziej wrażliwe od chłopców, zanoszą się wprost od śmiechu z dowcipnych figlów popularnego „Łapy" (Stanisława Łapińskiego) i–snobizmu pretensjonalnej Flory, świetnej w interpretacji Bohdany Majdy. Interesujące, chociaż może nieco zbyt groteskowe postacie kreowali Benoit i Janusz Kubicki w roli Liśniewicza, jakby prototypu Papkina.

PIĄTEK

W Biurze Wystaw Artystycznych (Piotrkowska 102) warto obejrzeć ekspozycję gobelinów i kilimów Kazimiery Frymark-Błaszczyk, starszej asystentki studium tkactwa na wydziale włókienniczym Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Tkaniny artystyczne Kazimiery Frymark - Błaszczyk były wystawiane na licznych wystawach w kraju i za granicą. Jej gobeliny i kilimy jako utwory sztuki stosowanej są jednocześnie dziełami sztuki autentycznej sensu stricto. Obok tych tkanin nie można przejść obojętnie, wszystkie zmuszają do zatrzymania na nich wzroku. Ale chyba szczególnie piękne są gobeliny „Sandomierz" i „Tkanina eksperymentalna".

SOBOTA

W grudniowym numerze „Dialogu" (12/1964) znajdujemy Epizod piętnasty — Circe „Ulissesa" Jamesa Joyce'a w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego. Kiedyż nareszcie całość tego światowej sławy arcydzieła (jednego z największych w dziejach literatury, jak sądzą niektórzy) ukaże się w polskim tłumaczeniu w wydaniu książkowym.

NIEDZIELA

Od dłuższego czasu słyszymy o imponującym rozkwicie kinematografii czechosłowackiej. Niedawno odbył się w Paryżu w Muzeum Człowieka pokaz siedmiu długometrażowych oraz siedmiu krótkometrażowych filmów produkcji czechosłowackiej. Francuscy filmowcy mieli możność obejrzenia „Oskarżonego" Jana Kadara, „Diamentów nocy" Nemeca, „Transportu" Brynka, „Czy macie lwa?" Hobla, „Nadziei" Kachyna i „Asa pik" Formana. Sprawozdawca tygodnika „Les Lettres Francaises" pisze o tym pokazie kinematografii czechosłowackiej w superlatywach: że rozwinęła się ona „na miarę czasów socjalistycznych", że wysunęła się w krajach socjalistycznych na pierwsze miejsce przewyższając nawet słynną „szkołę polską". Te wielkie osiągnięcia tłumaczą się, zdaniem Francuzów, „zerwaniem z przeszłością, dogmatyzmem i akademizmem", a przede wszystkim — „swobodą, z jaką filmowcy czechosłowaccy mogą traktować najbardziej złożone i najbardziej delikatne i palące problemy współczesnego świata".

ARYSTARCH

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

ELVIN WHITE

Dwa razy whisky

Z maszyną w dłoniach wszedł do baru mężczyzna i wtedy prawie wszyscy zaczęli mu się przyglądać, bo, mówiąc szczerze, nikt z nas jeszcze czegoś podobnego nie widział. Nieznajomy postawił swój ciężar obok kranu z piwem. Zajęło to diabelnie dużo miejsca i wystarczyło tylko spojrzeć na barmana, żeby dostrzec malujące się na jego twarzy niezadowolenie.

— Dwa razy whisky and soda — powiedział mężczyzna.

Barman w milczeniu robił coctail i prawdopodobnie starał się zrozumieć o co chodzi przybyszowi.

— Pan chce podwójną whisky? — spytał po chwili.

— Nie dwa kieliszki.

Wpatrywał się w barmana przeciągłym, niezbyt przyjaznym wzrokiem.

Mając kontakt z różnymi ludźmi w czasie długoletniej pracy, barman, nawet jeżeli ktoś mu się nie podobał, nauczył się nie okazywać tego, ale tym razem nie miał ochoty dogadzać nowemu klientowi, który w dodatku postawił mu przed nosem jakąś podejrzanie wyglądającą maszynę. Spojrzał na nią, wziął palące się cygaro leżące na brzegu kasy, zaciągnął się i odłożył je na poprzednie miejsce. Nalał dwa kieliszki, napełnił wodą szklanki i przesunął w stronę zamawiającego. Siedzący przy stolikach obserwowali ich w milczeniu. W naszym barze zawsze tak jest, kiedy zdarza się coś niezwykłego.

Mężczyzna wiedział, że jest ośrodkiem zainteresowania wszystkich, którzy znajdowali się w barze, ale nie dał tego po sobie poznać. Wyjął z kieszeni pięciodolarowy banknot, podał barmanowi, wypił whisky i popił wodą. Otworzył drzwiczki maszyny, wlał do znajdującego się tam lejka drugi kieliszek whisky, a potem wodę.

Barman obserwował go z ponurym wyrazem twarzy.

— To wcale nie jest dowcipne — mruknął. — Muszę panu powiedzieć, że pański przyjaciel zajmuje zbyt wiele miejsca. Niech go pan postawi na ławce przy drzwiach.

— Miejsca wystarczy dla wszystkich — przerwał nieznajomy.

— Ja wcale nie żartuję — powiedział barman. — Stawiaj pan tę diabelską machinę koło drzwi. Nikt jej nie ukradnie.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Należało ją zobaczyć dziś rano. Spisywała się naprawdę wspaniale! Dziś był trzeci dzień turnieju. Wyobraźcie sobie — trzy dni nieustannego myślenia! Przeciwnikami byli najlepsi szachiści z całego kraju. Na początku partii od razu miała przewagę i w rezultacie króla przeciwnika zapędziła w róg. Zupełnie nieoczekiwanie zdobyła skoczka, zablokowała wieżę i to był już koniec. Czy wiecie ile pieniędzy ona wygrała w ciągu trzech dni?

— Ile? — spytał barman.

— Pięć tysięcy dolarów. Chyba należy się jej jakiś odpoczynek i trochę whisky, no nie?

Barman z roztargnieniem zaczął wycierać ręcznikiem wilgotną powierzchnię kontuaru.

— Proszę ją stąd zabrać. Wystarczy mi tych kłopotów, które mam.

Mężczyzna pokiwał głową i uśmiechnął się.

— Nie, nam się tu bardzo podoba. — Wskazał puste kieliszki. — Proszę jeszcze jedną kolejkę.

Barman nie wiedział co powiedzieć, ale w dalszym ciągu obstawał przy swoim.

— Niech pan to zabiera. Nie mogę nalewać whisky, kiedy się ze mnie wyśmiewują.

— Wyśmiewają — powiedziała maszyna — należy mówić: wyśmiewają.

Jakiś mężczyzna stojący przy barze pił już trzeci kieliszek whisky i prawdopodobnie miał wielką ochotę wziąć udział w rozmowie, której się bardzo uważnie przysłuchiwał. Rozluźnił krawat i odpiął guzik przy kołnierzyku. Podniecony alkoholem był gotów przyjść z pomocą krzywdzonym.

— Jeżeli maszyna chce się napić, to trzeba jej dać. Nie ma o co się kłócić — powiedział do barmana.

Właściciel maszyny zwrócił się w stronę swojego nowego przyjaciela, podniósł dłoń na wysokość skroni, wyrażając w ten sposób swoją wdzięczność. Teraz już mówił tylko do niego, specjalnie ignorując barmana.

— Pan wie jak to jest — po wysiłku umysłowym zawsze chce się wypić.

— No jasne — odpowiedział przyjaciel — normalna rzecz.

Bar zakołysał się. Jedni stanęli po stronie barmana, inni z kolei zaczęli wyrażać swoje współczucie maszynie i jej przyjaciołom.

— Whisky z cytryną, Bill — powiedział wysoki ponury mężczyzna stojący obok mnie. — Tylko nie lej za dużo soku cytrynowego.

— Cytrynowego kwasu — ze złością zasyczała maszyna. — W tych barach nigdy nie dają prawdziwego soku cytrynowego.

— Wynoście się! — krzyknął barman trzaśnąwszy dłonią o kontuar. — Nie mam czasu na żarty. Ja muszę pracować i nie mam ochoty wysłuchiwać impertynencji od jakiegoś idiotycznego mechanicznego mózgu, albo diabli wiedzą od kogo jeszcze.

Właściciel maszyny z zupełnym spokojem zignorował to ultimatum i zwrócił się do przyjaciela, który stał z pustym już kieliszkiem.

— Ona chce się napić nie tylko dlatego, że zmęczyła się grając trzy dni w szachy. Czy wie pan dlaczego jeszcze?

— Nie — powiedział przyjaciel. — Dlaczego?

— Bo oszukiwała w czasie gry.

Usłyszawszy to maszyna zachichotała. Jedna z kilku dźwigni opadła, a na pulpicie zapaliło się oko.

Przyjaciel spospiał.

— W szachach nie można oszukiwać — rzekł po namyśle. — T — to niemożliwe. Przy takiej otwartej grze widoczna jest każda kombinacja.

— Ja też tak kiedyś myślałem, ale okazuje się, że mimo wszystko są pewne sposoby — mówił dalej mężczyzna.

— Wcale się temu nie dziwię — wtrącił się barman. — Wystarczy tylko spojrzeć na to diabelstwo i od razu wiadomo, że to jakiś nieczysty interes. Zwykłe oszukaństwo!

— Dwa razy whisky — powiedział mężczyzna.

— Nie dam! — barman ze złością patrzył na myślący mechanizm. — A skąd mam wiedzieć czy ona nie jest już pijana?

— Możemy sprawdzić. Niech pan ją o coś spyta — zaproponował nieznajomy.

Wszyscy z zapartym tchem czekali na wynik sporu.

— A o co spytać?

— Wszystko jedno o co. Niech pan poda jakieś dwie duże liczby i poprosi ją by przemnożyła. Nie sądzę aby pijanemu mogło się to udać.

Maszyna zaczęła drżeć jakby przygotowując się do wykonania nie znanego jej jeszcze zadania.

— 10.862×99 — powiedział barman ze złośliwym uśmiechem. Wiedzieliśmy, że cyfrę 99 podał specjalnie, by utrudnić wykonanie zadania.

Maszyna zamigotała, jedna z lamp zapaliła się z szumem a dźwignia skokami zaczęła zmieniać swoje położenie.

— 1.075.338 — powiedziała maszyna.

W barze już nikt nie pił. Jedni ponuro patrzyli na swoje odbicia w lustrze, inni znów nieufnie wpatrywali się w nieznajomego i w jego maszynę.

Wreszcie jakiś młodzieniec ze zdolnościami matematycznymi wyjął kawałek papieru, ołówek i zajął się wyliczaniem.

— Zgadza się — stwierdził po kilku minutach. — Niestety, nikt nie ma prawa powiedzieć, że maszyna jest pijana!

Teraz wszyscy wyczekująco patrzyli na barmana. Ten, ociągając się, nalał dwa kieliszki whisky. Nieznajomy wypił swój, napoił maszynę i wtedy jej lampy przyćmiły się trochę. Jedna z dźwigni opadła.

Przez chwilę bar kołysał się jak statek na morzu. Przy pomocy alkoholu staraliśmy się pojąć to wszystko co działo się na naszych oczach. Znowu zaczęto napełniać kieliszki. Większość szukała odpowiedzi w lustrze — sądzie ostatniej instancji.

Młodzieniec z rozpiętym kołnierzykiem poprosił o rachunek. Chwiejąc się podszedł do baru i stanął między maszyną i nieznajomym. Potem jedną ręką objął mężczyznę a drugą — maszynę.

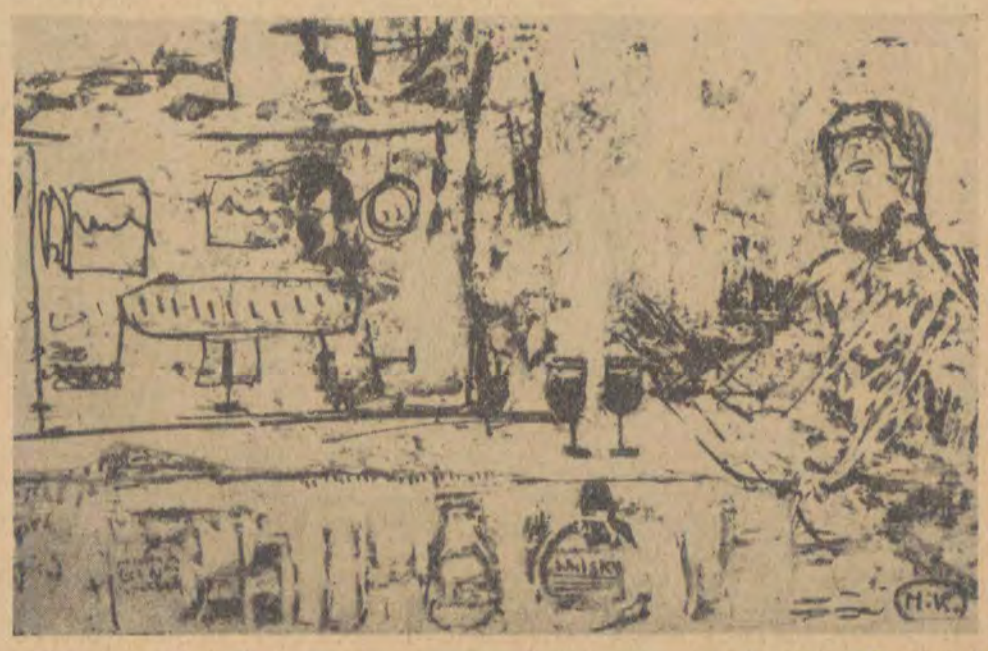

Rys. Magda Kapuścińska

— Chodźmy stąd, znajdziemy sobie lepsze miejsce — zaproponował.

— Dobrze — zgodził się nieznajomy — z przyjemnością. Przy wejściu stoi mój samochód.

Zapłacił za whisky i zostawił napiwek. Delikatnym, trochę niepewnym ruchem wziął maszynę i wyszedł.

Barman odprowadził ich wzrokiem i po chwili znów powrócił do wykonywania swoich nieskomplikowanych obowiązków.

— Patrzcie go, samochód ma! Czym tu się chwalić? Wydaje mu się, że on jest jedynym posiadaczem samochodu. Też mi coś! — mruczał barman.

Jeden z mężczyzn spoglądał chwilę przez okno, wreszcie podszedł do baru:

— Wyobraźcie sobie, że ma Cadillaca. Najnowszy model. Powiedzcie, kto z tych troga, waszym zdaniem, usiadł przy kierownicy?

Przełożył:

ROMAN GORZELSKI

* PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIĄGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

Lewym okiem

ŚLISKI TEMAT

Może dlatego nic się nie udawało, że było nas trzynastu. Więcej nie zmieściło się na jednej ławce, wykopanej spod śniegu, a i tak staliśmy na niej na baczność, czasem tylko przytupując dla rozgrzewki.

Nie udała się przede wszystkim zima. Pamiętaliśmy dawne, prawdziwe zimy w wielkim mieście, ślizgawki na każdym placu, oświetlone, z muzyką, z instruktorami jazdy figurowej, z dobrze ogrzanym bufetem. Pamiętam cały repertuar płyt starej warszawskiej „Kresowianki" na Wareckiej, gdzie za sześć złotych kupowało się tak zwaną sezonówkę — i — hulaj dusza! Właściciel ze skóry wylaził, żeby lód był zawsze równiutki: może miał chody w głównym urzędzie do spraw temperatury, w każdym razie wylewana dwa — trzy razy dziennie woda naprawdę zamarzała prawie co dzień i co dzień setki stałych klientów spędzało tu wieczory. Kto wie czy nie z większym dla zdrowia pożytkiem niż przy telewizorze z Hrabią Monte Christo.

Niepotrzebnie opowiadaliśmy o tym dzieciom. Zaczęły się napraszać o łyżwy. Niepotrzebnie je kupiliśmy, mimo że handel robił co mógł, żeby nam się odechciało. Niepotrzebnie łudziliśmy się, że napisy mogą coś znaczyć. Na przykład napis w Helenowie: „Ślizgawka czynna co dzień od 10 —20. Bufet. Szatnia. Wstęp bezpłatny". Tylko część tego napisu odpowiada prawdzie: bezpłatny wstęp. Natomiast nie ma wcale bufetu, a ślizgawka działa tylko wtedy, gdy po południu pada deszcz, a w nocy weźmie przymrozek. Nie daj Boże do tego śniegu: przysypie zamarzniętą kałużę i koniec zabawy.

Nie udała się zima, bo takiej idealnie skombinowanej pogody doczekaliśmy się tylko raz. Nareszcie można było wyciągnąć łyżwy zza pieca, zwymyślać córeczkę, że nie chce tego większego szala tylko ten stary, a w tym starym to wstyd, a sąsiadki patrzą i sobie pomyślą, no i można było pójść do Helenowa. Legion tatusiów stał już na skraju, każdy z panów objuczony paltem i butami swej pociechy. Nie ma przecież szatni. Każdy z panów stoi lub biega — nie ma przecież nie tylko bufetu, ale nawet daszka, ławki pod daszkiem — nic oprócz napisu. Tatusie muszą być. Inaczej palta i buty leżałyby stertą na śniegu, zresztą chyba niedługo by leżały. Ktoś by się tym zainteresował, po co mu dawać szansę na łatwy grosz?

Taka wytęskniona frajda nie może trwać krócej niż godzinę. Godzinę przestać na skraju to dużo. Na szczęście z odległych alejek parku przyciągnął ktoś ławkę. Zbyt mokrą żeby usiąść, ale dobrą, żeby stanąć na niej i odizolować nogi od mokrego i zimnego śniegu na ziemi.

Trzynastu nas się zmieściło. Reszta biegała w kółko i klęła, tylko, że nikt z właściwych czynników tego nie słyszał.

Nie wiem, kto jest właściwym czynnikiem. Od lat już nikogo nie obchodzi, że w olbrzymiej Łodzi dzieci nie mają w zimie co robić. Place są. Woda w hydrantach jest. Nie ma tylko reprezentacji dzieci na posiedzeniach Miejskiej Rady Narodowej, bardzo głośno płaczących, najbardziej niegrzecznych dzieci. Dzieciom trudno by było wytłumaczyć, że urządzanie ślizgawek się nie opłaci. Chytrym prywaciarzom się opłacało. Dzieci nie rozumieją, że dla polania wodą nieduże powierzchni ziemi i urządzenia tak prostego miejsca zdrowej zabawy jak ślizgawka, potrzebni są — oprócz człowieka z hydrantem i byle budy z żelaznym piecykiem — jeszcze: pianista, kasjer, księgowy, kierownik z zastępcą, statystyk, biuro studiów i sala konferencyjna z dzwonkiem. Że o wiele łatwiej zakazać i ciskać gromy na rodziców, którzy tolerują uganianie się dzieciarni na łyżwach po jezdniach ruchliwych ulic, niż umożliwić znacznie przyjemniejszą i bezpieczniejszą jazdę po prawdziwym lodowisku.

Owszem, jest komfortowa Hala Sportowa. To, co to paroletnie szkraby z całej wielgachnej Łodzi mają zjeżdżać tłumnie do Hali — oczywiście w towarzystwie rodziców, którzy rzucą zajęcia domowe i inne, nie pójdą do biura, do fabryki, na zebranie, tylko zmarnują trzy godziny, żeby szkrab pokręcił się kwadrans po lodzie? I to kwadrans ściśle odgwizdany, zaplanowany na miesiąc z góry, bo harmonogram, bo zawody, bo treningi, bo szkółka, bo Estrada? Planowany na miesiąc z góry, a potem najczęściej — w ostatniej chwili odwołany?

To już powiedzmy sobie szczerze: łyżwy są artykułem deficytowym, paski do łyżew — tym bardziej, buty do łyżew — szkoda gadać, ślizgawki — szczyt marnotrawstwa. W sumie: taka ładna, prosta, zdrowa zabawa jest — jak sobie powiedzmy bez uników — sportem ekskluzywnym, luksusem, zbytkiem, zawracaniem głowy. Siedźcie, dzieciaki, przy telewizorze, przy Hrabim Monte Christo. Gdy zaczną nadawać popisy łyżwiarskie — tatuś wyłączy aparat.

Cwiek.

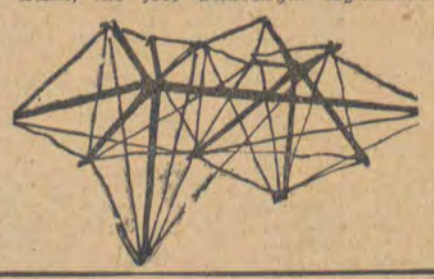

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam. 463.II.65, N-3.